

ZERYTHAR PAMIĘĆ GYO



HISTORIA
ZEPHYRA EURUSA
TOM II
J. M. JAZGARSKI

Zerythar: Pamięć Gyo

Historia Zephyra Eurusa

Tom II

J. M. Jazgarski

Okladka: Magdalena Klipo
Redakcja: J. M. Jazgarski

© Wydawnictwo Memoro, 2026
Wszelkie prawa zastrzeżone
ISBN 978-83-980524-2-9
Wydanie pierwsze

SPIS TREŚCI

PROLOG.....	1
AKT I.....	5
I.....	6
II.....	21
III.....	37
IV.....	54
V.....	75
VI.....	95
VII.....	113
VIII.....	128
IX.....	146
X.....	167
XI.....	193
XII.....	209
AKT II.....	224
XIII.....	225
XV.....	255
XVI.....	272
XVII.....	292
XVIII.....	313
XIX.....	336
XX.....	352
XXI.....	367
XXII.....	384
XXIII.....	401

AKT III	418
XXIV	419
XXV	436
XXVI	463
XXVII	482
XXVIII	501
XXIX	527
XXX	546
XXXI	570
XXXII	583
XXXIII	603
XXXIV	623
EPILOG	637
MAPY	640
DODATEK	642
GŁOSARIUSZ	643
SPIS BOHATERÓW	659
PODZIĘKOWANIA	661
O AUTORZE	662
WIĘCEJ O ZERYTHAR	663

Sorei ni sumu wa, toki o koeru koto.

PROLOG

Przedmieścia miasta Gyo wiały pustką o nocnej porze. Cisza przesywała zmysły, a księżyc w pełni świecił bladym światłem. W domach z czerniejących belek i przy zapadniętych kramach nie tlił się już żaden lampion. Jedynie wiatr zaglądał przez rozdarte papiery shōji i rozsunięte drzwi. W progach pochylonych domostw leżały porzucone sandały i połamane wachlarze. Patrząc wyłącznie na te przedmioty, można by uwierzyć, że mieszkańcy po prostu wyszli i nie wrócili.

Inne zmysły zdradzały smutną prawdę. W powietrzu mieszał się zapach spróchniałego drewna i pyłu unoszącego się raz za razem przy lekkim powiewie. Nikt nie wychodził, nikt nie strzegł tych pustych ulic.

Na horyzoncie, ponad dachami drewnianych chat, piętrzyły się masywne, popękane mury miejskie, a na końcu drogi majaczyła wyłamana brama. Za obwarowaniami rysowały się kontury wielkich dachów, podobnych do tych widzianych z wyniesienia nad jeziorem. Te zdawały się jednak jeszcze bardziej majestatyczne niż te, które spoczywały na wodzie. Im bliżej kamiennych ścian, tym wyraźniej można było dostrzec ich rany — wżarte w tynk ślady kul armatnich, pęknięcia jak rozcięcia skóry czy miejsca, w których ogień osmałił belki i zniekształcił dachówki.

Po dawnej świetności stolicy Szogunatu Gyo o tej samej nazwie nie pozostało niemal nic: każdy herb został skuty dłutem, każdy relief zatarty przez wiatr, deszcz i czas. Miasto wyglądało, jak

gdyby ktoś z rozmysłem próbował wymazać jego wspomnienie z powierzchni ziemi, jednocześnie zostawiając ruiny ku przestrodze. A jednak właśnie ta pustka nadawała mu niepowtarzalny, niemal mistyczny charakter — zupełnie niespotykany na Zaihon.

Ulica prowadząca do zniszczonego przejścia była wypełniona kilkudziesięcioma sylwetkami, których kroki, a nawet najcichsze szepty, rozdzierały ciszę. Szli ostrożnie, nie wiedząc, co czeka na nich w tym miejscu. Spokój tego kamiennego cmentarza wypełniły wreszcie krótkie krzyki — nie z lęku, a z bólu od samego powietrza i wspomnień uderzających w skronie. Potem wszystko cichło; zostawały tylko przekleństwa i jęki, gdy odzyskiwali oddech.

Do tej kakofonii dołączyła natura: huczenie sowy, trzepot nietoperzych skrzydeł, cykanie świerszczy w gęstej trawie, która częściowo obrosła popękane, gliniano-kamienne płyty dawnej drogi.

Grupa maszerowała dalej, przechodząc przez mury i wchodząc na teren właściwy Gyo. Szli ostrożnie, jak ludzie, którzy wiedzą, że cofnięcie się bywa gorsze niż wejście w nieznane. Patrzyli na zniszczone kamienne ściany, które nie chroniły już niczego, a jedynie trwały. W świetle księżyca wyglądały jak wyłamane ramy obrazu.

Za bramą rozpościerało się miasto, którego ulice przypominały kamiennie-drewniane żyły starego organizmu. Po lewej i prawej stronie stały jeszcze resztki domów z późniejszego okresu, zdające się odstawać od tych bardziej wyniosłych — krzywe, czasami na palach, zbite z desek, trzymające się na sznurkach i woli dawnych mieszkańców. Po niektórych pozostały jednak tylko połamane

belki i gliniane naczynia, w których zebrała się woda po ostatnim deszczu.

Gyo za murami miejskimi wyglądało mimo to inaczej niż przed nimi. Tam panowała ruina, tu — dziwny porządek, jakby woda ułożyła miasto według własnych reguł. W ciszy można było niemal usłyszeć echo kroków tych, którzy kiedyś przemierzali tę drogę w stronę pałaców. Co jakiś czas wiatr wprawiał w ruch papierowe amulety przybite do belek — zapewne pozostałość po ostatnich mieszkańcach, którzy próbowali ulaskawić pamięć miejsca.

Głębiej, w stronę centrum, zaczynały się zabudowania jeszcze starsze. Kamienne płyty, popękane i przechylone, znikwały miejscami po lewej stronie pod wodą, a między nimi rosła trawa i czerwona zielska. Po bokach ciągnęły się rzędy sklepików i warsztatów — wszystkie jednak otwarte, jakby ktoś zapomniał je zamknąć przed odejściem, a w niektórych stały drzewa i bambusy niczym nowi właściciele. Szli dalej na północ, gdzie było mniej wody.

Przemierzona arteria kończyła się szerokim placem, który musiał być niegdyś miejscem uroczystości lub zgromadzeń. Stały tam kamienne wsporniki latarni, przechylone, z zapadniętymi głowicami, a między nimi martwe liście. Na środku placu, na jego najsuchszej części, wyrastało samotne drzewo — suche i blade jak kość, ale wciąż zachowujące swój kształt.

Dalej rozciągał się ogród, którego granice trudno było odróżnić od miasta i ogrodzenia pałacowego dziedzińca. Tam widniały resztki mostków i kamiennych ścieżek prowadzących w stronę wzniesienia. Woda w oddali zdawała się sięgać miejscami do kolan.

Za ogrodem i ogrodzeniem pałacu, po lewej stronie od wejścia, rozciągał się wewnętrzny plac zebrania, rozbity i pofalowany jak wyschnięte dno jeziora. Pośrodku sterczał kamienny postument, na którym zapewne niegdyś stał jakiś posąg. Teraz pozostały po nim tylko pusta wnęka i ślady zardzewiałych bolców.

Wokół placu wznosiły się filary bram i arkad — połowa z nich pochylona, reszta zanurzona w wodzie po same kapitele. Z płytkiej toni wystawały okute słupy, na których dawniej rozpinano sztandary rodów. Teraz rosły wśród nich wodne trawy, kołyszące się leniwie na wietrze.

Obok dawnego placu stały dwa pałace — bliźniacze, lecz o odmiennym losie. Jeden tonął w wodzie. Jego górne kondygnacje przypominały wyspy. Czasem między nimi przemykały ryby, jakby i one pilnowały ciszy tego miejsca. Drugi, położony wyżej, zachował nienaruszoną sylwetkę. Kamienna podstawa była jedynie podmywana wodą jeziora. Nad głównym wejściem wisiały resztki zdobień, a na drzwiach widać było kolejny zatarty znak — zbyt niewyraźny, by rozpoznać jego znaczenie.

Grupa zatrzymała się na moment u stóp szerokich schodów. Z wnętrza pałacu dobiegł głuchy odgłos, jak gdyby gdzieś w środku poruszył się kamień. Nie powiedzieli nic. W milczeniu zaczęli wspinać się po stopniach, a każdy ich krok brzmiał jak echo dawnej obecności ludzi, którzy już dawno przestali wracać do tego miejsca. Zrobili ostatni krok przed progiem — krok, od którego miały zależeć przyszłe dni Zaihonu.

AKT I

I

Kurağa, III/6, 294

Dzień 61 Zaihon

Wpis XCV

Poranek

Pierwsza noc w ruinach pałacu w Gyo za nami.

Nadal nie potrafię pojąć, co się wczoraj wydarzyło. Nie wierzę, że Nerijs naprawdę nie żyje... Szok po ujrzeniu miasta dodał mi siłę, by przemówić do grupy, lecz gdy zamknąłem oczy na tej zatęchłej posadzce, wszystko wróciło naraz: strach, gniew, smutek, ulga, bezradność.

Nie mogę być Protektaro. Ktoś inny powinien przejąć tę rolę.

W końcu przeżyło nas więcej niż przypuszczałem — więcej niż nasza dziewiątka. Na pewno jest ktoś bardziej godny...

Część osób, która tu dotarła, nie była nawet z naszej grupy przeszkukującej twierdzą, a z tej, która próbowała wydostać się z Nikyo. Dziś mają opowiedzieć, co się wydarzyło w tunelu. Anari twierdzi, że coś o tym wie... Skąd? Nie mam pojęcia.

Zrozumiałem też wczoraj, dlaczego Nerijs wybrał właśnie Gyo. To opuszczone miejsce jest źródłem pamięci — reakcja Volkmara oraz kilku innych osób na pierwszy kontakt z jego szeptami tylko to potwierdziła. Źródło zapewne nie stanowi idealnej zasłony, ale da nam schronienie. Przynajmniej na jakiś czas, dopóki nie ustalimy dalszych działań. Nie jest tłumione przez sanaconid, więc nie ma tej gęstości co Ogrody Shin-

rina w Shokyo. Może właśnie dlatego jego obecność jest mniej pochłaniająca, bardziej rozproszona.

Nahuili przekazała mi po drodze, że udało im się wykraść z magazynów tych czarnych rycerzy sporo memoria — w tym moją muszlę. Niektórzy z grupy zaczęli zgłaszać po dotarciu do pałacu, że słyszą coś innego niż głosy ze źródła. Będziemy dziś rozdzielać artefakty — skoro same pragną ich natchnąć, niech to się stanie naturalnie. Isandra była jedną z tych osób...

Yorin natomiast wspomniała o czymś niepokojącym. Płaczący odezwał się do niej swoim niezrozumiałym językiem, gdy mijaliśmy samotne drzewo przed bramami pałacu. Łkał głośniejsze niż zwykle, jakby nakłaniał ją, by dotknęła tego suchego, martwego próchna. Kolejna rzecz do sprawdzenia.

Musimy dziś wykonać inwentaryzację, by ustalić, co komu udało się przetransportować aż do twierdzy. Yorin i ja nie straciliśmy naszych koszy... Jednak wszystko, co w nich było, okazało się bezużyteczne albo zaginęło. Po konfrontacji z Txorianem moje pióra i pędzle połamały się, a kałamarze popękały, przez co straciłem też zapasowe ubrania, część pustych pergaminów oraz cały prowiant. Na szczęście mapy nie zostały poważnie uszkodzone.

Straty Yorin były zgoła odmienne. Może nie rozlała atramentu, lecz jej kosz rozerwał się u podstawy po jednym z ataków zuribelta i wszystko wyleciało tak szybko, że w ferworze walki nawet tego nie zauważyliśmy.

Będziemy również planować kolejne ruchy i spróbujemy dowiedzieć się, co dzieje się obecnie na Zaihon. Zielone chusty wypowiedziały wojnę Cesarstwu dynastii Aorin i wszystko wskazuje na to, że na Nikyo ich ataki się nie skończą. Zapewne maszerują dalej — w imię Strażnika Mo-

rza i Gór — Kaiganrina. Gdyby tylko wiedzieli, kto naprawdę stworzył ich wielbione Itsas-zaindari...

I ostatnia rzecz warta odnotowania. Nadzwyczaj dziwna. Widziałem we śnie — a może bardziej w wizji niż śnie — Eidolona w Drugiej Stolicy. Rozmawiał z kimś. Słyszałem jedynie niewyraźne jego odpowiedzi. Ostatnie zdanie brzmiało inaczej — niedającą się określić barwą głosu, którą zdawał się odtwarzać w myślach... Jedno było pewne — rozmawiał ze swoim stwórcą, czego nie mógł robić, będąc uwięzionym we mnie.

Z jakiegoś powodu żaden z nich nie zauważył mojej obecności. Było to jednak coś innego niż wizje czy sny w świecie cienia. Byłem tam jedynie częścią własnej świadomości jako bierny obserwator i słuchacz. To było Nikyo z tej nocy. Sam Eidolon zachowywał się równie nienaturalnie. Obco jak na niego. Inaczej niż go znałem.

Gdy tylko znajdę chwilę, muszę porozmawiać o tym z Doloránem i czcigodnym Munjo. Tak jak z Yorin, Severianem i Isandrą... Pewne jest, że cień przetrwał starcie z kościanym rycerzem i będzie kolejnym zagrożeniem dla naszej misji.

Światło poranka przeciskało się przez rozdarte w oknie papiery washi, rozlewając się na podłodze w delikatnych plamach. Część paneli byōbu była porwana, inne nasiąkły wilgocią i falowały jak cienie wspomnień.

Zephyr obudził się powoli. Przejechał dłonią po swoich ciemnych włosach z rudawym refleksem, chcąc się upewnić, że nic w nich nie zostało z resztek podłogi, oraz po twarzy, na której pod opuszkami palców wyczuwał pierwsze ślady, jakie zostawiła na niej ta wyprawa.

Ciepło, które utrzymywało się przez całą noc, ustępowało teraz lekkim podmuchom chłodu — zwiastunom nadchodzącej pory jesienno-zimowej. Dopisało im szczęście, że mogli spać w takich warunkach bez żadnych nakryć. Podłoże, na którym leżał, było wciąż wilgotne, a zapach stęchłego drewna mieszał się z metaliczną nutą wody. Kiedy siedział, starannie oczyścił swoje ubranie z pyłu i brudu.

Przez chwilę słyszał tylko własny oddech, później — szept wiatru przeciskającego się przez rozdarcia papieru. Wstał, by odsunąć resztki przesłony.

Za nią rozciągało się jezioro — spokojne, rozświetlone barwami wschodu. Dwa słońca wynurzały się zza dalekich wzgórz, a ich blaski przecinały mgłę i rozlewały się po wodzie w pomarańczowych i perłowych smugach. Na tafli unosiły się liście i zarośnięte fragmenty drewna, a między nimi wystawały szczyty zatopionych budowli. Niektóre wyglądały jak wyspy, inne ledwie rysowały się pod powierzchnią, próbując jeszcze wrócić w majakach do dawnej świetności.

Zephyr zastygł na chwilę, pozwalając światłu przejść przez siebie i swoje zielone oczy, jakby chciał się upewnić, że to nie sen. Spał w tym pomieszczeniu sam, mimo usilnych próśb części grupy, by trzymać się razem na terenie pałacu. Ich strach był wciąż żywy, tak jak wspomnienia wczorajszego dnia. Większość nocowała w dawnej sali audiencyjnej, dużej przestrzeni na pierwszym piętrze. Jeden *Maršistaro* oraz *Vivteniso* zdecydowali się pełnić wartę na parterze razem z Volkmarem, który zdawał się już dojść do siebie po pierwszym szoku przebywania w Gyo.

Sam Scivolaro udał się jednak na jedno z wyższych pięter, stawiając kroki tam, gdzie światło księżyca zdawało się go prowadzić. Dotarł do zrujnowanej komnaty, w której niegdyś mógł mieszkać sam szogun — przestronnej, lecz ograbionej do cna. Z pozłaczanych paneli pozostały jedynie resztki, a z dawnych malowideł na licznych byōbu i fusumach — strzępy barw i pęknięcia przypominające zbite szkło. Na podłodze wciąż leżały rozsypane fragmenty ceramiki i drewna, a w jednym z rogów — przewrócona podstawa po dawnym parawanie.

Mimo utraty własnych przyborów nie został bez narzędzi — ktoś z grupy posiadał zapas i podzielił się nim hojnie, gdy tylko wkroczyli do pałacu. *Muszę podziękować* — pomyślał, uświadamiając sobie, że noc skończyła się jedynie ciszą przerywaną jego poleceniami oraz cichymi rozmowami o Nikyo. Kiedy wczoraj wchodził po schodach, rzucił mimochodem prośbę o atrament i pióro, nawet nie przyglądając się swojemu dawcy.

Kałamarz postawił na drewnianej belce okiennej. Trzymając dziennik w dłoni, notował wszystko, co przychodziło mu do głowy. Wpis rozrastał się, aż w końcu, gdy atrament wysechł, zaczął wertować strony poświęcone Neriowski — jakby próbował odtworzyć jego postać, szukając wskazówek, co ma teraz uczynić.

Znał jego plan, ale to było za mało. Zephyr chciał osiągnąć więcej — nie z ambicji, lecz z samozaparcia i poczucia sprawiedliwości. Dla Neriusa. Dla wszystkich, którzy zginęli na Zaihon i jego wodach lub uciekali przez góry Nikyo. I dla samego siebie.

Czemu Zaihon prowadził Unaro i innych ku zgubie na morzu? Co w sobie krył — przed obcymi i przed własnym ludem?

Rozmyślenia przerwało nagle pukanie we framugę rozsuwanych drzwi.

— Można? — spytał go nieznany głos.

— Nie musisz pytać. — Zephyr odwrócił się leniwie, by spojrzeć na rozmówcę. W progu stał młody chłopak, może szesnasto- lub siedemnastoletni. Nosił szaty Unaro o kroju, którego Zephyr nie rozpoznawał — zapewne z czasów samodzielnych wypraw katedr. Wyglądał na dziecko kogoś, kto trafił do Nikyo wiele lat temu.

Taka praktyka na Zaihon była powszechna. Stroje w tej kolonii nie były unifikowane. Każdy mógł nosić taki krój, jaki chciał — zresztą sam Zephyr miał na sobie ubiór wzorowany na drugiej wyprawie wschodniej. Nawet ludzie z pierwszej nosili różne odzienie: Nerijs nosił barwy swojej ekspedycji, a *Pretoro* Rabke z tej samej wyprawy co on nosiła starszy krój. Bliższy temu, który miał teraz na sobie chłopak.

— O co chodzi? — spytał Zephyr.

— *Protektaro* Eurus — zaczął niepewnie młodzieniec. — Zostałem tutaj wysłany przez *Protektaro* Navarrosa, aby pana znaleźć i

—

— Skończmy z tym panem... — przerwał Zephyr i zaczął rozmawiać skronie niczym mistrz Vilhelm po winie. Nawet od takiej skromnej ilości formalności i myśli o tym, co na dole mówił Dexion, głowa mu żywo pulsowała.

— Po prostu Zephyr. A ty? Jak mam się do ciebie zwracać?

Chłopak wyprostował się z żołnierską manierą i przedstawił w modle łączącej zaihonską tradycję z unarską:

— Celsus Ryohantu, Młodszy Marŝistaro... — zawahał się na chwilę, jakby nagle uświadomił sobie, że wypowiada słowa należące już do przeszłości.

Po krótkiej pauzie powtórzył nieco ciszej, lecz wyraźniej:

— Celsus Ryohantu, Młodszy Marŝistaro Unaro, z czwartego pokolenia rodziny Celsus w Nikyo.

Przypuszczenia się potwierdziły. Mieszane imię było tego świadectwem — pomijając już samą wzmiankę o pokoleniu, bo na Dwukontynencie nikt się tym nie chwalił przy przedstawianiu. Chłopak urodzony na Zaihon, w rodzinie, której nazwisko musiało trafić tu z Tusci. Związki mieszane według Yorin nie były zakazane, lecz należały już do rzadkości. Nie wspominała mu jednak nic o nadawaniu nazwisk. W tym przypadku najwyraźniej rodzina zdecydowała się zachować to po przodku, który rozbił się o skały tego lądu.

Zephyr patrzył chwilę na chłopaka, widząc w nim odbicie samego siebie. Nie z czasów Dnia Przemiany, a sprzed kilku miesięcy — gdy szykował się w Urbo de Oriento do tej przeklętej wyprawy. Wyprostowany na każdy rozkaz, pełen motywacji do działania.

Formuły przedstawienia komórki, której użył — typowej dla Unaro — on sam użył po raz ostatni w sposób równie poprawny i oficjalny nie w *Katedro de Unueco de Nikyo* — tam już wszyscy wiedzieli, kim jest, zanim przybył — lecz w domku Shenraku w Asamizu. Kapłan zwrócił mu uwagę na długość jego tytułów. Od tamtego dnia minęły dwa miesiące.

— W czym mogę pomóc, Ryohantu? — spytał ospale Zephyr, wracając wzrokiem do widoku jeziora i jego ruin.

— Wszyscy czekają na dalsze wytyczne — odpowiedział chłopak, nadal stojąc na baczność.

— Czy „Protektaro” Navarros nie może ich sam dostarczyć?

— Powiedział, że bez pana... znaczy, bez ciebie, Zephyrze, nie jest to możliwe. Oprócz tego wszyscy inni zdają się go ignorować i...

Chłopak zamilkł — zapewne uświadamiając sobie własny błąd i naiwność.

— Spocznij, piechurze, i podejdź tu — powiedział łagodnie Zephyr, bez ironii, klepiąc dłonią drewnianą ramę okna.

Żołnierz niepewnym krokiem wykonał polecenie i stanął obok niego.

— Ile masz lat? — zapytał Zephyr.

— Szesnaście.

— Pochodzisz z Zaihonu. Czemu jesteś tutaj z nami?

Teraz i Ryohantu patrzył na taflę przed nimi i wreszcie wymamrotał już bez żołnierskiej manieri:

— W hołdzie dla mojego pradziadka...

— Wiesz, co chcemy osiągnąć? Do czego dążymy? — spytał Zephyr.

— Zgadza się. Wydarzenia w twierdzy na wyspie stały się dla mnie jawnym dowodem, że on i *Arkivaro* Dracca mieli rację...

— To znaczy? — wciął się Zephyr, wciąż szukając powodu jego obecności.

— Zaihon nie jest w pełni wolny, a to Unaro nie jest tym samym, co te za morzami na zachód. Moja matka to Zaihonka, ojciec z korzenia Tusci. I nawet ona wspierała jego i moje bycie we

Wspólnocie. Sama nie chciała wstąpić, a raczej nawet nie wiedziała, że się da, do czasu twojej interwencji w sprawie *Intertraktaro* Okabe. Wierzyła jednak, że nasza idea Jedności wydaje się słuszna, mimo pokrętności w jej wyegzekwowaniu.

— Pokrętności? — Zephyr uniósł brwi, czując autentyczne zaciekawienie.

— Nie znam się na historii, panie... — poprawił się szybko, jakby obawiał się własnego błędu. — Nie znam się na historii, ale z tego, co wiem, część ludzi z Nikyo za czasów moich dziadów trzymała urazę do naszej katedry i nie raczyła dzielić się z nami powodami. Powtarzano tylko, że to była dla nich zniewaga, że istniejemy.

— Jak w takim razie poznałeś Neriusa? — zapytał Zephyr i nagle dodał: — Powiem wprost, Ryohantu. Nie dziwi mnie obecność ludzi świeżo przybyłych na Zaihon — nawet tych sprzed piętnastu lat. Jeśli odkryjemy, co się tutaj dzieje, to wywróci cały świat do góry nogami...

— Właśnie dlatego tu jestem! — odparł pewniej. — Chcę to wiedzieć. Jestem wdzięczny losowi za to, że dzięki jego zrządzeniu mój pradziadek dał początek mojej rodzinie. Jednak i on zostawił nam tę samą misję, którą chciał realizować pan Dracca.

Wziął wdech i dodał:

— Mój ojciec, który również jest Marșistaro, przedstawił nas sobie. Mi zaś powiedział: „Ja, ze względu na twoją matkę, nie mogę spełnić woli mego dziadka, lecz ty — młody i z niczym niezwiązany — możesz tego dokonać. Nie będziemy na ciebie źli, jeśli zdecydujesz się na ten krok i wyruszysz z Neriusem Draccą”.

Stali obaj wpatrzeni w jezioro, na którym oba słońca świeciły już pełnym, nieprzycmionym przez góry blaskiem. Zephyr trawił słowa chłopaka. Rodzina Celsus najpewniej przekazywała sobie w sekrecie cel wyprawy przodka od około stu lat. Ten tutaj chłopak, który nigdy nie postawił stopy na Dwukontynencie, chciał się poświęcić dla sprawy mu tak dalekiej i zdawałoby się obcej. Dla idei, która wcale nie musiała go dotyczyć.

Uczucie ciepła ogarnęło Zephyra w pełni. Patrzył na chłopaka raptem sześć lat młodszego od siebie, który zdawał się uosobieniem cnót Wspólnoty — naiwnym jak on, lecz jednocześnie czystym i wiernym.

Ta krótka rozmowa dała mu lekki impuls. Wyprostował się, opierając się o ramę okna otwartymi dłońmi.

— Dziękuję ci, Ryohantu, za to wyznanie i wybac mi to maglowanie. Nie będę tego zrzucał na warunki noclegu — wszyscy nie mieliśmy łatwo, ale chyba po prostu posłanie nie było najświeższe. — Zaśmiał się Zephyr i zatoczył półokrąg ręką nad popróchniałą posadzką, na co chłopak parsknął lekko śmiechem.

Po tej rozmowie obaj ruszyli ostrożnie po schodach na pierwsze piętro pałacu, uważając na dziury w podłogach i niepewne panele. Pokój, w którym nocował Zephyr, był na czwartym piętrze. Idąc, co jakiś czas zaglądali do innych pomieszczeń, sprawdzając ich stan i to, co w nich można znaleźć. Budowla nagryziona przez ząb czasu i obrabowana ze wszelkich dóbr zdawała się sama w sobie nie mieć wiele do zaoferowania poza ścianami.

Wreszcie dotarli do korytarza prowadzącego w dół ku południowemu skrzydłu pałacu. To nie było główne wejście do sali audiencyjnej, lecz jedno z bocznych, przeznaczone niegdyś dla służby i niższych szczeblom urzędników. Wąskie przejście wiodło między zbutwiałymi ścianami, których papierowe przegrody dawno już ustąpiły miejsca powietrzu i pajęczynom.

Zephyr musiał się pochylić — nadproże było obniżone, a belki zwisały pod ciężarem czasu. Po kilku krokach korytarz otworzył się szerzej i przed nimi ukazała się sala audiencyjna. Była rozległa, ale pogrążona w półmroku.

Z wysoko sklepionego stropu zwisały strzępy jedwabnych tkanin — zapewne niegdyś chorągwi z herbami szoguna Gyo, dziś zniszczonych i niemal nierozpoznawalnych. Ściany w większości pokryte były wypłowiałymi malowidłami: przedstawiały góry i fale. W niektórych miejscach zdawały się zlewać z prawdziwymi zaciekami po wodzie. Na podłodze było widać fragmenty podwyższenia — tronowego podestu, z którego dawniej przemawiano do zgromadzonych. Teraz zalegały tam tylko pył i kurz.

W pomieszczeniu znajdowało się kilkadziesiąt osób. Twarze bliskie, znajome z widzenia i zupełnie obce. W strojach *Unaristoj*, w szatach mieszczan i częściowych zbrojach gwardii Nikyo. Gdy Zephyr tylko pojawił się w cieniu sali, podszedł do niego chłopczyk — młody Milen, wnuk Radosza. Jego mina zwiastowała złą nowinę.

— Milen! Czemu tutaj jesteś?! — spytał zszokowany Zephyr.

— Wspólniku Zephyrze...

Chłopiec nie był w stanie powiedzieć więcej, a z jego oczu popłynęły łzy. Scivolaro Eurys przykucnął i objął chłopczyka, domysławiając się, co mogło zająć.

W tej samej chwili niemal biegiem dołączyła do nich Nahuili, wyraźnie szukająca chłopca. Ryohantu, widząc ją, stanął odруchowu na baczność, choć nie musiał.

Kobieta wywodziła się z nieznanego Zephyrowi ludu z *Xoxecte*, który ponoć miał leżeć na zachód od Unaro. Jej nietypowa perłowa opalizująca skóra i tatuaże w połączeniu z olśniewającą urodą, którą Nerijs zawsze uwypuklał, odróżniały ją od innych. Nie należała do Unaro, ale niemal każdy wiedział o bardzo bliskiej relacji jej i Arkivaro Dracci, którą los tak brutalnie przerwał.

Ona sama doświadczyła straty podczas starcia w twierdzy. Znała Milena i jego dziadka od lat — być może od jego narodzin — teraz łączyła ich również wspólna rana. Chłopiec jednak przeżywał to drugi raz.

Zephyr nie znał szczegółów. Velesław mu jedynie napomknął o tym, gdy kurował się w piwnicy Radosza. Matka Milena zmarła zaraz po porodzie. O ojcu nie wiedział nic poza tym, że był. Teraz został sam.

— *Vocisceptorze* — wyrwało jej się na jego widok. — Czekaliśmy na twoje przybycie, choć nie wszyscy są obecni.

— To nie wszyscy? — niedowierzał Zephyr.

— Wygląda na to, że Neriemu zależało, aby uratować jak najwięcej istnień. Mówił, że gotowych do opuszczenia Nikyo było ponad trzysta osób. Nie wiem, ile jest nas tu obecnie. Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt...

Milen szybko odbiegł od Zephyra i przytulił się do Xoxetki.

— Wiesz, co się stało? — spytał przygaszonym głosem Scivolaro, patrząc na chłopca.

— Tintazar... — odparła kobieta. — Według relacji świadków, gdy część grupy wchodziła do tunelu, pojawił się niespodziewanie na dziedzińcu. Rozpoznałam go po opisach jego kościanej przyłbicy. Asqai i jego ludzie nie zdążyli zareagować i część grupy... stanęła w płomieniach tej dziwnej włóczni, którą władali wojownicy w czarnym metalu.

Zephyr i stojący obok na baczność Ryohantu zareagowali ciszą i zadumą na tę nowinę.

— Radosz uratował Milena, odpychając go najdalej, jak zdołał. W ostatniej chwili. Próbowali się ratować, tarzając się po ziemi, ale ogień nie chciał gasnąć...

Na te słowa chłopczyk mocniej pochwycił jej koszulę i przycisnął twarz tak, aby zasłonić uszy. Cisza, która zapadła, stała się ich wspólnym hołdem dla starego karczmarza i jego poświęcenia.

Wreszcie i inni zaczęli dostrzegać poruszenie na końcu pomieszczenia. Kolejno odwracali głowy, a potem ruszali w stronę Zephyra. Pierwszy podszedł Dexion, stanął przed nim i przemówił głośno do zebranych, tak aby każdy go usłyszał:

— Skoro jest z nami Zephyr, to jako jego prawa ręka oddaję mu przywództwo nad naszą ekspedycją. Od teraz —

Nie zdążył dokończyć, bo jego usta zasłoniła dłoń Anari Ika-riun. Na jej twarzy malował się cień zażenowania z nutą troski. Po chwili odwróciła się do Zephyra i rzekła:

— Dobrze, że jednak zdecydowałeś się zejść. I dzięki, Ryohantu, że go znalazłeś.

Maršistaro Celsus na jej słowa wyprostował się jak struna i tonem pełnym dumy odpowiedział:

— Wedle rozkazu, *Rajdistaro* Ikariun.

Dexion wyrwał się jej i tylko prychnął, co ona skwitowała swoim typowym uśmiechem. Ten drobny gest wystarczył, by rozładować napięcie.

— Nie będziemy stać w rogu sali — oznajmił i wskazał palcem na określony punkt. — Zróbcie okrąg w jej centralnej części, a Zephyra umieścimy na środku, aby wszyscy go dobrze słyszeli i mogli zadawać pytania!

Tym razem Anari mu nie przerwała. Kiwnęła głową na znak zgody, a Dexion wyraźnie się rozpromienił. Zebrani powoli ruszyli zgodnie z poleceniem ku pustej przestrzeni, omijając spróchniałe deski.

Zephyr rozglądał się, szukając znajomych twarzy. Nie dostrzegł Yorin Okabe, Isandry Sero, Volkmara Hohenhofa i Severiana Varronela. Nahuili skinęła mu głową i zabrała Milena w stronę jednego z bocznych korytarzy, aby chłopak nie musiał słuchać narady.

Gdy wszyscy się ustawili w okręgu, Zephyr stanął na jego środku. Obok niego Dexion oraz Anari. Z tłumu wyszła również Aldonza de la Sierra, a Ryohantu zajął miejsce bliżej otwartej przestrzeni, stając na baczność.

Wokół przeważali młodzi. Sporadycznie widać było starsze twarze, a w tłumie na przedzie dało się dostrzec także dwie mniejsze sylwetki dzieci — prawdopodobnie przy swoich rodzicach.

Jego towarzysze również stanęli na wewnętrznym brzegu kręgu. Wszyscy patrzyli na jego centralny punkt, w którym stał Zephyr.

Czekali na pierwsze słowo, które doda im nadziei w tym trudnym momencie. Zebrał myśli, wziął wdech i zrozumiał.

Nie było już odwrotu od tej nowej roli.

II

Zephyr rozejrzał się po grupie. Wszyscy wpatrywali się w niego z mieszanymi minami. Jedni pełni nadziei, inni niepewni jutra. Otaczali go ludzie z kilku środowisk i każdy dążył do czegoś innego, opuszczając Nikyo. Poszli za Neriusem, który połączył ich w tym jednym celu. Teraz oczekiwano od niego, aby ich prowadził, choć nie był pewien, czy jest tego godny i czy ma wystarczającą wiedzę i umiejętności.

Po wzięciu dłuższego oddechu przemówił:

— Wiem, że wszyscy liczyliście, że w tym miejscu będzie stał Arkivaro Nerius Dracca. Wiecie też zapewne, że oddał swoje życie, abyśmy mogli trwać w tym gronie. Chciał zapewne uratować znacznie więcej istnień.

Nikt nie reagował.

— Ja sam nie wiem, czemu Nerius mnie tak cenił. Nie znalazłem go tak długo jak zapewne większość z was. Nie wiem, czemu uznajecie mnie za równego jemu, skoro jest tu tylu zdolnych, silnych, odważnych.

Drobne chrząknięcia w tłumie nie wybiły Zephyra z rytmu:

— Wiem jednak jedno: pozwolił nam przeżyć, abyśmy razem mogli zrealizować naszą misję. Jeśli ktoś z was nie słyszał mnie wczoraj, powtórzę to — musimy dotrzeć na Dwukontynent i przekazać Radzie Królów prawdę o tym lądzie. Dowiedzieć się, czemu nikt z was nie mógł opuścić Nikyo... I dokonać więcej niż to!

Spojrzał w stronę, gdzie zniknęli Nahuili z Milenem.

— Wszyscy straciliśmy kogoś w Drugiej Stolicy. I nie mówię tu wyłącznie o śmierci. Mówię też o rozłące z bliskimi, o złamanych przyjaźniach. Wielu z naszych przemierza teraz góry, aby dotrzeć tam, gdzie im wskazano. Nie wiem, ilu z nich zdołamy odnaleźć ani ilu już nigdy nie wróci.

Pomruki i cicha zgoda potwierdziły jego słowa.

— Ale jeśli coś ma przetrwać, to będziemy to my i nasza pamięć. Dlatego tu jestem i będę dla was. Nie jako dowódca. Nie jako uczony. Nawet nie jako Vocisceptor. A jako towarzysz tej wyprawy w nieznanie! I chcę, żebyśmy razem znaleźli sens tego, co tu się dzieje — zanim świat, który nas wysłał, zapomni, że istnieliśmy. Nie zawiedziemy, gdyż jesteśmy jednością!

Wrzawa w sali audiencyjnej rozgorzała mocniej niż Zephyr się spodziewał. Nie był nigdy dobrym mówcą, a ta naprędce sklecona mowa zdawała mu się nie do końca pasować do niego samego.

W tłumie padło pytanie, na które był przygotowany:

— Jakie mamy plany, Protektaro Eurusa?

— Przygotować się do dłuższego pobytu w Gyo, które będziemy wykorzystywać jako bazę wypadową. Zaihon ma obecnie na głowie nie tylko nas i naszych towarzyszy w górach Nikyo, ale również zielone chusty. O nas wiedzą najmniej i podejrzewam, że dopóki nie będziemy się wychylać, uda nam się zbudować podstawy do realizacji kolejnych kroków.

Ludzie uważnie go słuchali. Nikt nie przerywał.

— Przede wszystkim ten pałac wydaje się w tym momencie najbezpieczniejszym miejscem — zarówno do zasiedlenia, jak i obrony, jeśli zajdzie taka potrzeba. Musimy doprowadzić go do

względnej użyteczności i przygotować na chłodniejszy okres, który, jak słyszałem, ma nadejść niebawem. Czy są wśród nas jacykolwiek *Metiistaroj*, rzemieślnicy lub cieśle z Nikyo?

W kręgu cztery osoby podniosły ręce.

— Świetnie. Będę was prosił o dokładne obejście całego kompleksu i sporządzenie wstępnej oceny stanu konstrukcji. Sprawdźcie, które kondygnacje i pomieszczenia są bezpieczne do zamieszkania, a które grożą zawaleniem. Jeśli znajdziecie materiały, które można odzyskać — deski, gwoździe, narzędzia — zabezpieczcie je w jednym miejscu na dziedzińcu.

Zephyr przerwał na chwilę, spoglądając po twarzach w kręgu, a potem dodał z powagą:

— Nie ryzykujcie życia dla belek i kamieni. Gyo nie musi być odbudowane. Ma jedynie dać nam schronienie. Jeśli ocaleją choć trzy pomieszczenia zdolne do ogrzania, to już będzie zwycięstwo.

Wziął głębszy oddech i kontynuował:

— Teraz pozostaje kwestia aprowizacji. Wiem, że wielu z was posiada jeszcze jakieś zapasy lub przedmioty z Nikyo — część zapewne na prośbę Neriusa, a część z własnej potrzeby, by zabrać to, co najważniejsze do przetrwania. Wymagam wiele, ale chciałbym prosić wszystkich, którzy mają przy sobie kosze lub toboły, aby podzielili się swoimi zapasami z tymi, którzy mają niedużo... lub nie mają nic.

W tym momencie jego brzuch wybrał idealną chwilę, by zaburzyć. Po sali przeszedł lekki śmiech, a napięcie rozproszyło się na krótką chwilę. *Nie wyszło najgorzej* — pomyślał Zephyr, pozwalając sobie na cień uśmiechu.

— Czy mamy wśród nas kogokolwiek, kto mógłby się tym zająć? *Provizaroj, Majordomaroj czy Purigistaroj?* — dodał, spoglądając po zgromadzonych.

W tłumie uniosła się jedna ręka. Ku jego zaskoczeniu należała do wiekowego Vivteniso Hartulfa — tego samego *Majordomaro*, którego spotkał pierwszego dnia w katedrze w Nikyo.

— Hartulf... nie spodziewałem się ciebie tutaj. — Zephyr zrobił krok w jego stronę. — Czy podejmiesz się organizacji zgromadzonych zapasów?

Starszy mężczyzna skinął powoli głową, a jego głos zabrzmiał spokojnie, lecz stanowczo:

— Jeśli Gyo ma stać się naszym schronieniem, to ktoś musi pilnować, by panował w nim porządek, zanim wypełnimy naszą misję. Podejmuję się.

Zephyr odważemnił skinienie w zaihonskiej manierze.

— Dalej mamy kwestie związane z wyżywieniem — kontynuował, starając się utrzymać wcześniejszy rytm przemowy. — Zapasy, które mamy, na pewno nie starczą na długo. Proponuję, abyśmy zebrali wszystkie *shinju*, które nam pozostały, i wysłali naszych zaihonskich towarzyszy po nasiona czy nawet trzodę do najbliższej wioski. Możliwe, że znajdą tam coś, co da się szybko uprawiać, zanim nadejdą chłody i —

Tu przerwało mu chrząknięcie cienkiego, ale pewnego głosu z tłumu:

— Mistrz Dracca przygotował nas na to, że możemy gdzieś utknąć na dłużej — odezwał się ten głos. — Dlatego kazał nam za-

brać różne nasiona: ryż, proso, fasolę, daikon i długą kapustę. Mamy też kilka sadzonek bambusa i owoców morwy.

Zephyr uniósł brwi z uznaniem.

— To wspaniała wiadomość! — odparł z wyraźną ulgą, ale nim zdążył przejść dalej, ten sam głos ponownie przemówił:

— Podejmuję się założenia pól uprawnych w dawnych ogrodach pałacowych i znalezienia najlepszych źródeł wody.

Pomysł nie był pozbawiony sensu. Teren wokół Gyo był podmokły i mógł wciąż nadawać się do upraw — woda mogła okazać się sprzymierzeńcem, jeśli odpowiednio poprowadzić kanały. Ryż i rośliny wodne miały tu szansę przetrwać, zwłaszcza jeśli wyższe partie pałacowych ogrodów pozostawały nad poziomem zbiornika.

Nagle wtrącił się Dexion:

— My, *Maristaroj*, spróbujemy złowić coś z jeziora. Przygotujemy tratwę i poszukamy sieci. A jak się nie znajdą — zbudujemy prowizoryczne wędkę.

Zephyr uśmiechnął się i skinął głową w stronę obu mężczyzn.

— Świetnie. Doceniam każdą inicjatywę.

Wykonał lekki obrót, by spojrzeć na ludzi za plecami i powoli krążył drobnymi krokami w centrum kręgu:

— W przypadku samego pałacu proponuję, by wszyscy nadal spali tutaj — w sali audiencyjnej i przyległych komnatach, tak jak tej nocy. Dopóki nie upewnimy się, które piętra są bezpieczne, nie ma sensu się rozpraszać. Jeśli jednak komuś przeszkadza tłok, na górze jest kilka pomieszczeń nadających się do zamieszkania. Ja sam należę do tej grupy...

Wziął głębszy oddech, uświadomiwszy sobie, że ta samolubność nie jest najlepszą cechą przywódczą. Odgonił myśli i przeszedł do kolejnego punktu ze swojej długiej listy:

— Ilu mamy ludzi powiązanych z *Pretoroj* lub gwardią Nikyo?

Na to pytanie spora część obecnych podniosła ręce — wśród nich Anari, Dexion i Ryohantu. Aldonza zawahała się, co Zephyr zauważył, więc celowo pominął ją przy liczeniu.

— Widzę dwadzieścia sześć rąk... Nie ma z nami mojego przyjaciela Volkmara. Kogoś jeszcze brakuje?

Z końca sali dobiegł głos informujący o jeszcze jednej osobie.

— Czyli łącznie dwudziestu ośmiu wojowników Unaro i Zaihonu. — Zephyr skinął z uznaniem. — Mam do was prośbę: podzielcie się zadaniami między sobą. Część z was zajmie się renowacją pałacu, część będzie patrolować okolice i szukać zapasów — nie dalej niż do murów miejskich. Z koncentracją na tych domostwach i dobudówkach zbudowanych najpóźniej. Możliwe, że nawet same konstrukcje i ich szkielety się do czegoś przydadzą.

Zwrócił wzrok ku reszcie zgromadzonych.

— Zachęcam też tych, którzy nie należą do Unaro i opuścili Nikyo, by przyłączyli się do jednej z grup. Każda para rąk się przyda. To samo tyczy się mnie i pozostałych *Kuratoroj* — nikt nie będzie tu tylko obserwatorem.

Na koniec spojrział w stronę dzieci, które stały między dorosłymi, wpatrzone w niego z mieszaniną ciekawości i niepokoju.

— Dzieci niech odpoczną. Później będą mogły pomóc przy prostszych pracach — z rodzicami lub tymi, którzy ich potrzebują.

Rozejrzał się po sali, czekając, aż ucichną rozmowy.

— Czy ktoś ma pytania? — zakończył spokojnie swoją przemowę.

— Jak to jest słyszeć trzy głosy jednocześnie? — spytał ktoś z kręgu.

Zephyr nie spodziewał się takiego pytania. Podrapał się nieświeżym po głowie i odpowiedział:

— Nietypowo. To tak, jakby trzy osoby naraz szeptały ci coś do ucha. Po dłuższym obcowaniu da się przyzwyczaić, ale kiedy traciłem którąś z tych pamięci, czułem pustkę. — Uśmiechnął się krzywo, lecz nie miał czasu na zbieranie myśli, bo padło kolejne pytanie.

— Protektaro Eurys! — odezwał się mężczyzna z *Marśistaroj*. — Jak ci się udało zranić tego „płonącego lwa” w twierdzy?

Zephyr spieszył się przez chwilę, po czym odparł:

— To był ślepy łut szczęścia i atak w jedno wrażliwe miejsce — próbowaliśmy uszkodzić kamienną „skórę”, która go chroniła. Nie polecam powtarzać tej metody bez przygotowania na wyziewy gazu, które wybuchają po kontakcie z ogniem lub iskrami.

Szmer przeszedł przez krąg, a szepty w jego głowie narastały. Ktoś spytał o newralgiczny temat:

— Skoro już o nich. Kim byli ci wojownicy zakuci w czarny metal i kościane naramienniki? Mistrz Nerius mówił, że twierdza będzie pusta.

Zephyr wbił wzrok w podłogę i po zastanowieniu się spojrzał na mężczyznę, który zadał pytanie. Musiał blefować i dać jakąś satysfakcjonującą odpowiedź.

— Ci zakuci w czerni wojownicy są częścią choroby trawiącej Zaihon. Nie byliśmy pewni, czy pojawia się w twierdzy. Na nasze nieszczęście tak się stało.

Kolejne szmery po sali narastały coraz żywiej. Na szczęście padło pytanie, na które czekał i które ożywiło tłum:

— Część z nas słyszy nie tylko echo tego miejsca, ale też drobne szepty z *sorei* wykradzionych z twierdzy. Czy będziemy mogli czerpać z ich technienia?

— W sprawie artefaktów. Po tej krótkiej naradzie rozdysponujemy je między wszystkich, którzy cokolwiek usłyszą. Niestety nie mamy przy sobie żadnego *metalum*, dlatego zapewne słyszycie nęcenie tych przedmiotów z różną siłą. Ci z was, którzy nie czerpią z żadnego *sorei*, mogą być spokojni — rwane szepty ucichną, gdy tylko dotknięcie przedmiotu.

Skupił się, czekając, aż rozmowy przycichną, po czym mówił dalej:

— Zanim jednak to się wydarzy, mam kilka ważnych informacji dla Słyszących. Po pierwsze: jeśli ktokolwiek zauważy, że szept jest niepokojący, złowrogi lub namawia do czynienia krzywdy — ma natychmiast oddać artefakt mnie lub Nahuili. Sam z takim przedmiotem się nie spotkałem, ale wiem, że istnieją. Są jak klątwy, które odtwarzają cudze wspomnienia w nas samych i karmią nimi naszą jaźń, aby doprowadzić do tragedii.

Kończąc to zdanie, sam nadal nie był pewien, jak klasyfikować Dolorána i Eidolona.

— Po drugie: nie wolno korzystać z pamięci wbrew jej woli. Wsłuchujcie się w nią uważnie. To nic, że nie zrozumiecie wszyst-

kich słów czy dźwięków — czekajcie, aż usłyszycie coś bardziej znajomego. Jeśli zwątpicie, pytajcie Yorin, Nahuili, Severiana lub mnie. Nigdy nie nadużywajcie pamięci przedmiotu. Z szacunku dla tego tchnienia.

Zrobił krótką pauzę, by wreszcie zakończyć:

— I po trzecie: nie korzystajcie ze zdolności sorei w pałacu ani nigdzie w pobliżu Gyo. Źródła pamięci rozpraszają lub wzmacniają działanie artefaktów, przez co stają się one niestabilne. W samym mieście próbujcie tylko poznawać ich historie, słuchać szeptów. Do korzystania z ich zdolności przejdziemy dopiero później.

— Wszystkich, którzy coś usłyszeli, proszę, by zostali. Reszta może się rozejść do zadań lub odpoczynku, jeśli czujecie zmęczenie. — Zawiesił głos. — Dziękuję wam. W imieniu swoim... i Neriusa.

W tłumie rozległy się pojedyncze oklaski i krótkie gwizdy uznania. Część zebranych wykonała unarskie saluty, unosząc dłoni do skroni. Chwila ulgi przeszła przez salę niczym ciepły podmuch — jak gdyby wszyscy na moment zapomnieli o ruinach wokół siebie. Gdy ludzie zaczęli rozbijać krąg i rozchodzić się do wyznaczonych zadań, Zephyra naszała jeszcze jedna myśl. Zanim jednak zdążył się nią podzielić, jej ślad rozmył się wśród gwaru — właśnie pojawiły się osoby, które deklarowały, że słyszą szepty.

Wśród nich była Anari — wyraźnie zmieszana i jakby sama niepewna, czy powinna się przyznać.

— Anari? — spytał z niedowierzaniem Zephyr.

— Yhm? — odparła typowym dla siebie dźwiękiem, w którym mieszały się pytanie i obrona.

— Jesteś pewna?

— Absolutnie... Słyszałam to już w twierdzy, gdy uciekałam przed rycerzem. Cichy szept, ledwo przebijający się przez maskę, którą niosłam dla Neriusa.

Zaskoczenie ścięło go na krótki moment z nóg. Nie zdążył dopytać o mityczny artefakt, bo do grupy podeszli Isandra i Volkmar.

— Zephyr! — zawołał ten drugi. — Słyszałem tylko końcówkę przemowy, ale czapki z głów! Jakbym słyszał mojego pierwszego *Kapitanero* spod Jagirskogi!

— Dzięki. — Zephyr uśmiechnął się krzywo, po czym uniósł brew. — Ty też?

— Tak. — Volkmar przytaknął z wyraźnym zakłopotaniem. — Usłyszałem w nocy jakieś biadolenie w języku, którego nie znam. Brzmiało trochę jak *zai*, ale nie do końca.

Zephyr spojrzał na Isandrę. Ta unikała jego wzroku, jakby chciała, aż temat jej zachowania w Nikyo sam się rozmyje. Nie musiał pytać — znał ten gest aż za dobrze. Jej palec krążył wokół czerwonego kosmyka włosów; zawsze robiła tak, gdy walczyła z myślą, której nie chciała wypowiedzieć na głos lub gdy analizowała wątki.

W tym samym czasie podeszła do nich Nahuili wraz z Milenem. Chłopak wyglądał już znacznie lepiej — może rzeczywiście doszedł do siebie, a może tylko próbował to zagrać.

— Gdzie umieściłaś artefakty? — zapytał ją Zephyr.

— W komnacie rad. Tej z bocznym widokiem na jezioro — odpowiedziała bez wahania.

— Świetnie. Jeśli nikt inny się nie zgłasza, zaczniemy w tym składzie.

Poprosił pozostałych, by chwilę poczekali. Nahuili zostawiła Milena przy Anari i ruszyła z Zephyrem w stronę wskazanego pomieszczenia. Po drodze zapytała cicho, niemal z szacunkiem:

— Któryś do ciebie przemówił, Vocisceptorze?

— Słyszę kilka szeptów — odparł bez ogródek Zephyr. — Ale nauczono mnie, żeby nie sięgać po każde *sorei*, nawet jeśli mnie woła. Czasem czeka na kogoś bardziej dopasowanego. — Głos Shenraku znów zabrzmiał dzisiaj w jego myślach.

— Mądre słowa. Świadczą o twojej dojrzałości w sztuce słyszenia pamięci — powiedziała Nahuili z uznaniem.

Komnata rad, jak nazwała ją Xoxetka, znajdowała się tuż po lewej stronie sali audiencyjnej. Jej rozsuwane drzwi z pożółkłego papieru *shōji* były porwane w kilku miejscach, ale nadal trzymały się w ramach, które, choć wygięte od wilgoci, zachowały solidność. Wnętrze wypełniało miękkie światło odbite od jeziora, wpadające przez boczne okna.

Pośrodku stał długi, niski stół — stary, lecz zadziwiająco stabilny. Ktoś z grupy musiał go oczyścić, bo kurz i zbutwiałe zwoje zniknęły, a powierzchnię częściowo przykryto prostym płótnem. W powietrzu nadal unosił się zapach drewna i atramentu, lecz przebijała się też nuta świeżej wilgoci jak po deszczu.

Na środku stołu leżały artefakty — kilkanaście przedmiotów różnego kształtu i pochodzenia, starannie ułożonych w rzędach. Niektóre połyskiwały w świetle, inne wydawały się pochłaniać jego blask.

Wśród przedmiotów rozpoznał trzy: muszlę, fragment płetwy delfina i bransoletę.

— Jesteś pewna, że...? — zaczął Zephyr, patrząc na dwa ostatnie artefakty.

— Tego by chciał, żeby przeszły dalej w kolejne ręce i pomogły w jego misji — przerwała mu spokojnie Nahuili. — Oddał mi je nie tylko w tym celu. Jestem więcej niż pewna, że pragnął też, aby nie przepadły razem z nim, gdy zakładał maskę.

Przez chwilę milczeli, oboje wpatrzeni w dwa artefakty. Zephyr myślał o Neriусie i przeczuwał, że ona również — tylko nie potrafiła tego ubrać w słowa.

— Jak działały? — spytał w końcu.

— Proponuję wpuszczać wszystkich pojedynczo — odparła. — Nie spodziewam się, by ktoś usłyszał więcej niż jeden. Jeśli jednak tak się stanie... będziemy musieli przemyśleć, co z taką osobą począć.

— Nigdy nie widziałem nikogo, kto dobywa artefaktu — przyznał. — Mam własne doświadczenia, ale nie wiem, czy będą adekwatne.

— Jeśli objawiało się to w postaci skumulowanego szeptu, który wpływał na twoją głowę lub ciało, to może być podobne zjawisko. Wszystko zależy od czułości osoby na pamięć świata.

Zawahała się na moment, po czym dodała:

— Z twoich znajomych najbardziej martwi mnie ten żołnierz.

— Volkmar? — dopytał.

— Nie inaczej. Jego reakcja na źródło była bardzo bolesna. — Na jej twarzy pojawił się grymas, jakby sama odczuwała tamto cierpienie.

— Nahuili — odezwał się Zephyr po chwili milczenia. — Wiem, że to już raczej przesądzone, ale... uważasz, że naprawdę powinieniem dowodzić tej misji?

— Tak jak ci powiedziałam, gdy tutaj trafiliśmy, o Vocisceptorze — odpowiedziała spokojnie. — Widzę w tobie to samo światło co w Nerim. Wierzę, że oswoisz się z tym i poprowadzisz nas ku wielkości.

— Dziękuję. — Wypuścił powietrze, jakby zrzucił z siebie ciężar. Już miał wyjść po pierwszą osobę, lecz Xoxetka uniosła rękę i zatrzymała go w progu.

— Pozwól mi wywoływać nowych Słyszących.

Został sam w pomieszczeniu, spoglądając to na przedmioty, to na widok za oknem. Jezioro było tak samo spokojne jak o poranku, lekko poruszane przez wiatr.

Przymknął oczy, wsłuchując się w szepty źródła, które zdawało się wciąż powielać dramat tego miejsca. A jednak między tym echem dawnych tragedii Zephyrowi zdawało się, że słyszy cieplejsze barwy — wspomnienia chwil, które nie rodziły się z bólu. *Nie każde wspomnienie musi być napędzane tragedią...* Myśl pojawiła się i zniknęła równie szybko.

W drzwiach pojawiła się pierwsza osoba. Nie znał jej. Nahuili przedstawiła ją z zachowaniem zwyczajowej formuły Zaihonu:

— Akora Haruin.

Kobieta ukloniła się krótko, wyraźnie zmęczona.

— Młodsza Farmistaro, z siódmego pokolenia rodziny Akora w Nikyo — dokończyła spokojnie.

Była niska, miała proste czarne włosy, które opadały jej na ramiona, i oczy zdradzające niewyspanie bardziej niż emocje. Niczym się nie wyróżniała i musiała być bliska wiekiem jemu samemu. Zephyr przyglądał się jej jeszcze przez moment, próbując pogodzić obraz tej drobnej, cichej dziewczyny z faktem, że pochodziła z rodu mającego unarskie korzenie — rodu, którego przodek przybył na Zaihon niemal dwieście lat temu.

Chciał zadać jej wiele pytań, ale ostatecznie tylko skinął ręką, dając znak, by podeszła do stolika. Zrobiła jeden krok i zachwiała się, jakby miała mdleć.

Zephyr i Nahuili jednocześnie podbiegli, chwytając ją pod ramiona, zanim zdążyła uderzyć głową o podłogę. Delikatnie podprowadzili ją do okna, by mogła zaczerpnąć powietrza. Xoxetka natychmiast odwróciła się i udała po wodę.

— Spokojnie, oddychaj głęboko — mówił Zephyr cicho i z troską. — To się zdarza.

— Przepraszam, Protektaro Eurus... — wydusiła po chwili między oddechami.

— Nic się nie stało. Wszyscy jesteśmy zmęczeni. To naturalne, że to wszystko nas przytłacza.

— Pana nie... — urwała, po czym z trudem dokończyła. — Prawie wszyscy tutaj pana podziwiamy. To, że pan jest z nami... Protektaro Dracca naprawdę...

Jej głos się załamał. Zephyr chciał coś odpowiedzieć, lecz w tym momencie do komnaty weszła Nahuili z bukłakiem wody. Tuż za nią pojawił się Dexion, niosąc niewielki pieniek. Postawił go obok kobiety z ledwie widocznym uśmiechem.

— Przyda się — rzucił krótko, po czym ruszył w stronę wyjścia.

Gdy minął drzwi, na chwilę się zatrzymał, jakby coś przyciągnęło jego uwagę. Zephyr natychmiast to zauważył.

— Usłyszałeś któryś? — spytał.

— Nie jestem pewien... — odpowiedział Dexion półgłosem, po czym bez słowa wyszedł z pomieszczenia, zasuwając drzwi.

Haruin po dłuższej chwili doszła do siebie. Wstała powoli i ponownie podeszła do stolika z przedmiotami. Grymas bólu, który jeszcze przed chwilą marszczył jej twarz, rozmył się równie szybko, jak się pojawił.

W jej dłoni znalazł się pęk cienkich gałązek splecionych czerwoną nicią — przypominał modlitewny amulet, którego mogli używać wyznawcy jakichś zapomnianych wierzeń na Zaihon.

— Tak jak wspominał Vocisceptor. Nie zrażaj się, nawet jeśli nic nie zrozumiesz. Pozwól tej pamięci się — tu zamyśliła się, szukając słowa, i wreszcie dokończyła — wyszumieć.

— Zdaje mi się, że rozumiem... — wyszeptała kobieta. — Słyszałam głos w zai.

— Jeśli tylko zauważysz coś niepokojącego, jesteśmy tu dla ciebie — podsumował Zephyr i uśmiechnął się, by dodać jej otuchy.

Po niej przyszła kolej na kolejne dwie osoby — obie przeszły przez szukanie artefaktu bez większych komplikacji. W pomiesz-

czeniu panował coraz większy spokój. Pamięć rezonowała coraz słabiej z każdym kolejnym przydziałem.

Wreszcie do środka wszedł Volkmar Hohenhof. Nie było w nim już śladu uśmiechu z sali audiencyjnej. Jego twarz była blada, a spojrzenie puste. Ten, o którego najbardziej się obawiali, stanął naprzeciw stołu.

III

Volkmar zamarł, wzrokiem wbitym w drewno i płótno, jakby miało zaraz pęknąć lub się rozerwać. Zephyr znalazł to spojrzenie — widział je raz, w Ogrodach Shinrina, gdy młodego Berga uderzyła moc źródła.

Piechur miał słabość do używek. Kochał rozrywkę i hazard. Nie był wzorem cnót, ale był dobrym człowiekiem. Zagubionym. Z pewnością nie spodziewał się, że kiedykolwiek usłyszy szept. Do tej pory unikał wszystkiego, co ocierało się o tajemnice pamięci świata — albo los nie zbliżył go do niej tak blisko.

I mimo to został wyróżniony. Pamięć naznaczyła i jego, by mógł usłyszeć czyjaś historię. Jak to możliwe — nikt do końca nie wiedział. Uczni z Dwukontynentu przez stulecia próbowali pojąć, czym jest ów zmysł, który pozwala jednym słyszeć pamięć świata, a innym nie. Snuli wiele teorii.

Zephyr wiedział równie mało. Nigdy nie zagłębiał się w te rozważania szerzej, niż to było potrzebne. Jedna niepełna lektura Prowsta była kroplą w morzu jego obecnych potrzeb, a bez Neriusa i Nikyo nie miał już dostępu do bibliotek, których pożądał.

Z zamyślenia wyrwał go stłumiony dźwięk — jakby jęk czy westchnienie.

— Volkmar?! Wszystko w porządku? — spytał przejęty Zephyr.

— Pewnie — odparł tamten niewyraźnie i ruszył ku stołowi. Deski pod jego stopami skrzypnęły, a powietrze nagle zgęstniało.

Cierpienie widać było w każdym jego ruchu. Krok po kroku ciało Volkmara stawało się cięższe. Nahuili szła za nim bez słowa,

miętko, ostrożnie, by w razie potrzeby podtrzymać go na wypadek, gdyby upadał. Zephyr stał przy stoliku, napięty, gotów doskoczyć.

Wreszcie Volkmar przystanął. Deski pod jego nogami trzasnęły głucho. Usiadł ciężko, oparł łokcie o blat, który zaskrzypiał, i wyciągnął dłoń ku przedmiotowi błyszczącemu w świetle dnia — bransolecie Neriusa.

Cisza rozlała się po sali. Nawet Nahuili, zwykle kamienna jak posąg, miała twarz rozbitą zdumieniem. Wyszeptała tylko:

— Norihaku...

To imię zawisło w powietrzu jak dźwięk dzwonka. Nerius opowiadał o mnichu, który żywił się samym powietrzem, światłem i aurą pamięci, wierząc w bóstwa, których imion nikt już nie pamiętał. Mówił, że ten człowiek żył właśnie tutaj, w Gyo — może w cieniu tego pałacu.

Kolor wrócił mu na policzki. Oddychał ciężko, lecz z wyraźną ulgą, jakby zrzucił z siebie zapomniane brzemie. Zephyr już chciał coś powiedzieć, gdy Volkmar odezwał się pierwszy:

— Po reakcji siostry Nahuili wnioskuję, że ta bransoleta należała do Neriusa Dracci?

— Zgadza się — odparła spokojnie. Uklękła obok niego i oparła dłonie o krawędź stołu. — Cieszę się, że znalazł się ktoś, kto ponownie pozna historię Norihaku i kogo dotknie swoimi wspomnieniami.

— Ty ją znasz? — spytał zdziwiony, choć po chwili sam zrozumiał, jak głupio to zabrzmiało.

Nahuili nie odpowiedziała. Wstała i zwróciła się do Zephyra:

— Vocisceptorze. Pozwolisz, że pomogę temu żołnierzowi w poznaniu pamięci tego artefaktu.

— Nie widzę innej możliwości — rzekł Zephyr, wpatrzony w Volkmara. Gdy zobaczył, że ten odzyskuje siły, dodał z przekor-
nym błyskiem w oku:

— Wiesz, jak działa ta bransoleta?

— Severian coś wspominał.

— Domyślasz się, czemu pytam?

— Nie bardzo — odparł zmieszany Volkmar.

— Jeśli kiedyś dorwiesz się do butelki, pamiętaj, żeby najpierw ją zdjąć. Inaczej nic nie poczujesz.

Volkmar spojrzał na niego zdezorientowany. Nahuili zaśmiała się cicho — pierwszy raz, odkąd są w Gyo. Volkmar potrząsnął głową. Uśmiechnął się, odkręcił rękaw koszuli i wsunął bransoletę pod materiał — tak jak robił to kiedyś Nerijs.

Obaj ruszyli ku sobie niemal jednocześnie. Uścisk dłoni trwał krótko, ale wystarczył, by zetrzeć dawne tarcia. Nigdy się nie pokłócili i nawet starcia w Shokyo nie traktowali jako sprzeczkę. Byli od siebie kompletnie różni — i może właśnie to ratowało ich przed otwartym konfliktem.

Berg i Xoxetka opuścili pokój. Zephyr został sam, a przez uchylone okno znów widział spokojną taflę jeziora. Z oddali dobiegały krzyki — Dexion i Maristaroj pewnie już sprawdzali, gdzie zacząć połowy. Z drugiej strony, bliżej ogrodów, brzmiał rytm pracy Farmistaroj: dźwięk narzędzi, śmiech, nawoływania. Ruiny pałacu w Gyo zaczynały przypominać żywe miasto.

Drzwi rozsunęły się tym razem bezgłośnie. Do środka weszła Nahuili z kobietą i dzieckiem. Przez chwilę Zephyr był zaskoczony, ale zaraz wszystko zrozumiał. Przypomnił sobie słowa kapitana Arkonela — chłonne głowy młodych.

Chłopiec zatrzymał się kilka kroków od stołu, trzymany przez matkę, patrząc raz na Zephyra, raz na leżące na nim przedmioty. Nie było w nim lęku ani napięcia. Były tylko spokój i ciekawość.

— Szanowny dowódco — zaczęła kobieta w zai, trzymając chłopca za ramię. — Mój syn twierdzi, że też słyszy. Może to tylko dziecięca fantazja albo magia tego miejsca, ale...

— To możliwe, pani...? — Zephyr lekko przechylił głowę.

— Nyuan Ameha.

— To możliwe, pani Nyuan. Młodzi słyszą pamięć świata częściej niż starsi. — Spojrzał jej w oczy. — Jako matka to pani zdecyduje, czy syn powinien poznać wołający go przedmiot.

Kobieta milczała chwilę, po czym spojrzała na chłopca. W jego oczach błyszczała czysta ekscytacja. Gdyby nie jej uścisk, już pędziłby do stołu.

Zephyr zbliżył się, przyklęknął i przemówił w zai do dziecka:

— Jak się nazywasz?

— Renzo.

— Co słyszysz, Renzo?

— Szczekanie.

Na te słowa Zephyr spojrzał na matkę i skinieniem głowy poprosił, by go puściła. Gdy palce kobiety poluzowały uścisk, chłopiec ruszył, lecz Zephyr powstrzymał go dłonią.

— Zanim to zobaczymy, Renzo, musisz dać mi chwilę. To nie potrwa długo.

Głos miał łagodny, ale pewny. Chłopiec zatrzymał się i przytaknął. W pomieszczeniu zapadła cisza — ta szczególna, która zawsze poprzedza dotyk memorio.

Zephyr przymknął oczy. Nasłuchiwał.

Tak jak mówił Nahuili, część głosów docierała do niego. Wśród nich wyłowił ten jeden szczekający. Krótki, urwany, pełen radości. Jednocześnie pojął, że jest inaczej niż wcześniej: jeden z wcześniejszych szeptów ucichł. Wiedział więc, że jeden z poprzednich artefaktów — najpewniej bransoleta Norihaku — zamilkł dla niego po trafieniu do innego Słyszącego.

Nie był to wisiołek Neriusa ani muszla — te zawsze były dla niego nieme.

Otworzył oczy i spojrzał na kobietę:

— Ten głos nie niesie zagrożenia. To pamięć starego psa, który kochał rodzinę, z którą żył. Więcej nie powiem — nie jestem natchniony na tyle, by poznać całą jego historię.

Pani Nyuan zakryła usta z wrażenia. Nahuili tylko skinęła, a w jej oczach zabłysło uznanie.

— Zgoda — wyszeptała kobieta. Chłopiec wyskoczył zza Zephyra, chwycił skrawek starej obroży i biegł po sali, szczekając wesoło, jakby naprawdę towarzyszył mu pies.

Dźwięk jego głosu rozlewał się po pokoju, przenikając przez cienkie ściany shōji.

— Zanim was puścimy — zaczął Zephyr, wstając, i zwrócił się do kobiety. — Jeśli mogę spytać... Czemu zdecydowała się pani opuścić Nikyo wraz z synem —

— ...i z mężem — kobieta mu przerwała i dokończyła cicho. Spojrzała ku podłodze.

— Rozdzieliliście się?

— Podczas ataku tego wojownika w czarnym metalu. Mój mąż był w gwardii Nikyo, pomagał kapitanowi w odparciu napastnika i...

Nie musiała kończyć. Nagły ciężar wypełnił pomieszczenie, w którym słychać było tylko poszczekiwanie dziecka.

Zephyr pochylił głowę.

— Niech pamięć o nim przetrwa — powiedział cicho i lekko się skłonił. Nahuili uczyniła to samo.

Za ich plecami Renzo wciąż szczeakał z całych sił. Jego głos unosił się nad porwanymi tatami i zniknął za oknem, w stronę jeziora.

— Gdy go niosłam, mój mąż kazał mu nie patrzeć. Miał zamknięte oczy, kiedy wyszliśmy na plac. Weszliśmy do tunelu i... nagle byliśmy już na polach przed Gyo. Później powiedziano nam, że to dzięki poświęceniu pana Dracci.

— Czemu zdecydowaliście się na ucieczkę? — powtórzył pytanie Zephyr.

— Mój mąż był blisko kapitana Keshdura. O panu słyszałam pierwszy raz jeszcze przed pańskim przybyciem do Nikyo. To on był wśród tych, którzy eskortowali pana na odprawę po zejściu na ląd. Obawiano się pana, a raczej...

Zawiesiła głos. Przez chwilę słychać było tylko szelest papieru shōji. Zaczęła od nowa, ciszej:

— Kapitan Keshdur miał dość obłudy, jaką karmiono naszych ludzi. Nie był Zaihonczykiem, ale kochał nasz ląd. Zwierzył się kilku zaufanym, że na wyspie krążą wojownicy, którzy nie pochodzą stąd... i że mogą mieć wpływ na samego Tenrina. Gdy tamci dowiedzieli się, że jest pan natchniony przez sorei, zaczęli się pana obawiać.

Zephyr analizował jej słowa uważnie.

— Gdy oddał pan ten przedmiot. — Wskazała na muszlę na stole. — Mój mąż powiedział mi w sekrecie, że tamci byli zadowoleni. Spotkali się z kapitanem w ratuszu i odebrali zarekwirowane sorei.

Kobieta wzięła oddech i dokończyła:

— To był jeden powód. Drugim był napływ obcych ludzi do miasta — z pieczęciami cesarza. Kapitan Keshdur i mój mąż byli pewni, że wydarzy się coś złego związanego z Tenrinem i tymi czarnymi wojownikami. Dzień przed wybuchem zamieszek kazano nam się przygotować do ucieczki. Zebraliśmy się przy twierdzy, obok Dzielnicy Zaihonu. Nasi mężowie pomogli nam i innym w dotarciu do ratusza razem z pańskimi towarzyszami. Przy dużym wsparciu panienki Okabe weszliśmy do tuneli.

Zephyr słuchał w milczeniu.

Już wtedy, w podziemnym tunelu pod wodami Nikyo, przeczuwał, że kapitan Keshdur nie był tym, za kogo się podawał, gdy go poznał. Jego wrogie zachowanie podczas przesłuchania miało sens dopiero teraz — był po tej samej stronie co Nerijs. Chciał poznać

prawdę o rycerzach i o Zaihonie, nawet jeśli musiał zdradzić Unaro. Poświęcił się, by ocalić ląd, który pokochał.

Brak jego obecności w Gyo mógł jednak oznaczać tylko tragiczny finał.

— Dziękuję za przedstawienie tej historii, pani Nyuan — powiedział po chwili Zephyr. — I przepraszam, że musiała pani wracać do tych wspomnień. Próbuję zrozumieć, co wydarzyło się wczoraj.

— Wszyscy jesteśmy panu wdzięczni — odparła cicho. — Gdyby nie pan i pan Dracca, tych potworów przy wejściu do tunelu byłoby więcej. Mój mąż walczył za to, za co pan i panienka Okabe. My również pomożemy, jak potrafimy.

Skloniła się jeszcze raz, zawołała syna i odeszła. Ich kroki na spróchniałych deskach powoli cichły.

Nahuili nie wyszła za nimi. Zatrzymała się, jakby coś sobie ułożyła w myślach. Zephyr dostrzegł to w jej czarnych, perłowych oczach.

— Też o tym pomyślałaś? — spytał półgłosem.

— Odkąd usłyszałam pierwsze historie o ataku na przejście prowadzące poza Nikyo, coś mi się nie zgadzało.

— Powinniśmy porozmawiać z Anari. To może nam rozjaśnić sprawę.

Nahuili skinęła i wyszła. Po chwili wróciła z Rajdistaro Ikariun.

Anari była spokojna, jak zawsze. Na jej twarzy widać było tylko delikatny grymas — jakby coś ją ukuło w czoło.

Zephyr podszedł i położył jej dłoń na ramieniu, jak niegdyś czynił mistrz Vilhelm, gdy chciał podjąć rozmowę.

— Anari — zaczął łagodnie. — Po sięgnięciu memorio chciałbym, żebyśmy porozmawiali o tym, co zaszło w twierdzy.

— Yhm — odpowiedziała krótko. Nawet ten dźwięk zabrzmiał jak ból.

Zephyr cofnął rękę. Jeźdźczyni podeszła do stolika i niemal natychmiast pochyliła się, by podnieść ozdobną szpilkę do włosów. Zephyr widział podobne w wielu miejscach na Zaihon — Yorin nazywała je kanzashi.

Anari wpięła ją we włosy jednym pewnym ruchem. Zrobił krok naprzód, by ją powstrzymać, ale Nahuili uniosła rękę i zatrzymała go. Zdawała się wiedzieć, co się wydarzy. Anari odwróciła się do nich. Twarz miała już spokojną, jakby z niej zdjęto ciężar.

— Miała na imię Meirin — szepnęła. — Jeździectwo było jej pasją, podobnie jak moją. Kochała podróże.

Po policzku popłynęła łza.

— Dotykając tej szpilki, nagle usłyszałam rżenie koni oraz ciepły głos mężczyzny, lecz zdawał się dobiegać z oddali, jakby zza ścian, niesiony przez wiatr. Przemawiał w zai. Dopiero gdy kobieta przemówiła, dźwięki stały się wyraźne. Usłyszałam jedno klarownie brzmiące słowo: Meirin — tak ją nazwał ten mężczyzna.

Zephyr skinął głową. Nie dziwiło go, że Anari rozumiała — w końcu uczyła się zai w Shokyo i pewnie szlifowała go aż do teraz. Wiedział, że jest silna i wytrwała mimo swojej nieśmiałości. Ale za każdym razem, gdy to widział, zaskakiwało go to tak samo.

— O czym chciałeś porozmawiać, Zephyrze? — spytała krótko Rajdistaro Ikariun.

— Chciałem poruszyć dwie rzeczy. Pierwsza dotyczy twierdzy. Wspomniałeś dziś, że Nerijs poprosił cię o przyniesienie maski. Jak —

— Gdybym tylko wiedziała, czym ona jest i co z nią zrobi... — przerwała mu, nie odrywając wzroku. — Poprosił mnie o to, kiedy przekazał mi mapy tuneli pod Nikyo. Powiedział, że na wyższych kondygnacjach znajduje się najważniejszy artefakt i że musimy go zdobyć. Nie wiem, skąd wiedział, że właśnie mi się uda.

Zacisnęła dłonie.

— Gdy zaatakował nas ten rycerz z dziobem na przyłbicy... — urwała i spuściła głowę. — Przepraszam, że was wtedy zostawiłam.

— Nie musisz... — chciał wtrącić Zephyr, ale Anari mówiła dalej:

— Uznałam to za jedyny moment. W twierdzy mieli być trzej rycerze. Jeden z wami, Yorin i Volkmarem. Drugiego widziałam na placu walczącego z kapitanem Keshdurem i jego ludźmi. A trzeci... trzeci zdradził swoją obecność wybuchem po drugiej stronie kompleksu. Pomyślałam, że to nasza druga grupa.

Zamilkła na moment, jak gdyby znów tam była. Zadrżała na to wspomnienie i szukała skupienia. Wzięła wdech i kontynuowała:

— Dotarłam na najwyższe piętro. Nerijs wcześniej opisał mi, jak wyglądają *metała*. Znalazłam jedno — razem z maską. Gdy tylko jej dotknęłam i usłyszałam szept... nade mną rozległy się ciężkie kroki. Ktoś zbliżał się do miejsca, w którym byłam. Zaczęłam uciekać, płatałam się w korytarzach i na piętrach, ale ten, kto mnie ścigał, zdawał się nie spieszyć. Kroki były miarowe i powolne...

Anari przerwała i przymknęła na krótko oczy, zdając się odganiać ten obraz. Zephyr i Nahuili spojrzeli po sobie. Jej słowa dostarczyły brakujący fragment w ich podejrzeniach — w twierdzy był czwarty rycerz.

W oczach Xoxetki pojawił się cień smutku, ten sam, który znał z wczoraj, gdy żegnała Neriusa. Jej dłonie drżały.

— Powiedział ci, że założy tę maskę? — spytała Nahuili, cicho, jakby bała się własnych słów.

— Tak jak mówiłam na początku. Nie wiedziałam, czym jest ten przedmiot ani co z nim robi — odparła spokojnie Anari, ale w spojrzeniu miała ostrość i pewność swoich słów.

Patrzyły na siebie długo. Jakby każda z nich chciała w oczach drugiej odnaleźć kłamstwo.

— Możesz jej zaufać, Nahuili — wtrącił ostatecznie Zephyr. — Ręczę za szczerość Anari.

Obie kobiety milczały jeszcze chwilę. Potem, niemal równocześnie, opuściły wzrok. Powietrze w pokoju wreszcie drgnęło — jak po długim, wstrzymanym oddechu.

— Druga sprawa — zaczął szybko, jakby chciał uciec przed ciszą. — Ze względu na to, że w naszej grupie jest najwięcej Pretorój, powinniście wyłonić spośród siebie Kapitanero. To ułatwi komunikację i —

— Załatwione — przerwała mu Anari.

Powiedziała to sucho, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła, zostawiając za sobą echo własnych kroków.

— Nahuili — zwrócił się do niej Zephyr, zanim doszła do drzwi. — Czy Nerius wspominał ci o tym, że w twierdzy jest maska?

— Nie — odpowiedziała, odwrócona plecami. — Wiedział o tym, że w twierdzy są artefakty, ale nie podzielił się ze mną wiedzą o masce. Obecnie mogę jedynie się domyślać czemu... — odparła przygaszona i opuściła pokój.

Po kolejnym nowym Słyszącym zarządzono przerwę na lichego posiłek. Hartulf, jak zwykle skrupulatny, robił inwentaryzację i wyznaczył miejsce na tymczasowy magazyn. Był najstarszy w grupie, więc nikt nie sprzeciwiał się jego manierze wydzielania porcji co do łyżki. Kleik ryżowy z daikonem musiał wystarczyć.

Po przerwie pozostały już tylko trzy osoby. Jedna zareagowała spokojnie, druga gwałtownie — podobnie jak Haruin Akora.

A potem przysła kolej Isandry. Wizyty, której Zephyr jednocześnie pragnął i bał się.

Nahuili wyszła po nią, zostawiając go samego. On stał przy bocznym oknie, patrząc na jezioro. Słońca schodziły ku horyzontowi, dzień zbliżał się do końca — była może piąta, może szósta godzina Umbreny.

Z zewnątrz nie dochodził już gwar, tylko pojedyncze głosy i skrzypienie zbutwiałych desek pałacu.

Drzwi wreszcie się otworzyły. Odwrócił się — i zobaczył Isandrę. Samą.

Pomyślał, że Nahuili musiała rozmawiać z Neriusem o jego „problemach osobistych” jeszcze przed ucieczką z Nikyo.

Gdy się poznali, on wchodził do kajuty kapitańskiej na *eksploráipo Rememoro*, niepewnie zamykając za sobą drzwi.

Teraz ona zrobiła to samo — z lekkim piskiem zasunęła skrzy-
piące drzwi, jakby życie drwiło z nich obojga, odbijając ich dawne
gesty w lustrze.

— Widzę, że należysz do niezdarnych — szepnął Zephyr, od-
wracając głowę w jej stronę.

Kącik ust Isandry drgnął na jego słowa. Nie pomylił się — do-
brze pamiętała, co wtedy do niego powiedziała. Jej brązowe oczy
wciąż miały ten sam błysk, choć w spojrzeniu czało się zmęczenie
i coś zgaszonego.

Zatrzymała się, wciągnęła powietrze pachnące kurzem i staro-
ścią desek, po czym przemówiła słabym głosem, parafrazując wła-
sne słowa sprzed miesiący:

— Nie musimy się sobie tym razem przedstawiać, zgadza się?

Zephyr ruszył w jej stronę. Gdy się zbliżył, Isandra nagle się
zachwiała i zaczęła osuwać. Podbiegł i złapał ją, zanim upadła.

Nie pierwszy raz dziś widział podobną reakcję. Podniósł ją i
posadził na tym samym pieńku, który Dexion wcześniej przyniósł
z dziedzina. Sięgnął po bukłak z wodą.

Isandra oparła się o ścianę, oddychając ciężko.

— Nie przejmuj się mną... To...

— Nic nie mów — przerwał jej łagodnie. Podał wodę, a gdy na-
piła się kilka łyków, odetchnęła z ulgą.

— Dzisiaj tak jest cały dzień. Było lepiej, gdy wyszłam z pałacu...
to efekt —

— Ekspozycji na memoria — dokończył za nią szeptem.

— Nadal brzmi to dziwnie z twoich ust... albo gdy słyszę te
opowieści o tobie. — Uśmiechnęła się lekko i cicho zaśmiała.

Zephyr odwzajemnił ten uśmiech. Wstał od niej i podszedł do stolika.

— Co robisz? — spytała Isandra.

— Ułatwię ci sprawę — odrzekł i ostrożnie uniósł blat, pilnując, by nic z niego nie spadło.

Na stole zostało zaledwie pięć przedmiotów: muszla znaleziona przez Zephyra, naszyjnik Neriusa, dwa kamienie oraz kawałek drewna przypominający kolek.

Zephyr postawił stolik przed pieńkiem i stanął obok Isandry. Patrzyła przez chwilę na przedmioty w milczeniu, po czym wyciągnęła rękę w kierunku, który go zaskoczył.

Chwyciła muszlę.

Czerwono-pomarańczowy połysk ożył w jej dłoni, rozświetlony ostatnimi promieniami zachodzących słońc.

— To... — Zephyr zamarł, nie dowierzając, że właśnie ten przedmiot przyciągnął jej uwagę.

— Coś nie tak? — zapytała cicho.

— Rzecz w tym, że —

Nagle Isandra wydała z siebie bolesny dźwięk — taki, jakiego Zephyr dziś jeszcze nie słyszał. Wiedział, że to nie koniec doświadczenia. Powietrze wokół nich zadrżało, jakby membrana świata pękła.

Nie chciał w to wierzyć, ale nie miał wyboru. Zareagował instynktownie — chwycił ją za rękę. Ból przeszył go natychmiast. Najpewniej ten sam, co ją.

— Zamknij oczy i skup się na muszli! — rzucił przez zaciśnięte zęby.

Kobieta przytaknęła. Drganie powietrza nasiliło się, gdy zaczęli wchodzić do tego nieznanego wymiaru w podświadomości Isandry.

Zephyr gwałtownie otworzył oczy. Dookoła nich była woda.

Nie czuli jej ciężaru, a mimo to wszystko się poruszało, jakby znajdowali się w zanurzonej komnacie. Ściany i kolumny falowały delikatnie w błękitnym świetle, a przez okna sączyły się smugi jak z dna jeziora.

Próbował panicznie wziąć wdech — i zrozumiał, że nie musi. Oddychał pod wodą.

Isandra zareagowała podobnie. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, a jej włosy unosiły się wokół twarzy jak ciemne wodorosty.

— Jak to możliwe? — zapytała. Jej głos zabrzmiał czysto, jakby wcale nie znajdowali się pod powierzchnią.

— To jest... — zaczął Zephyr, lecz nie dokończył. Za jego plecami, za oknem, coś się poruszyło.

Przez nie do pomieszczenia wpłynęła istota. Ciało miała ludzkie, o półprzezroczystej, perłowej skórze, na której widniały spiralne wzory przypominające strukturę z wnętrza muszli. Włosy spletały się z pomarańczowo-czerwonymi skorupami, podobnymi do samego artefaktu — zrosniętymi z jej włosami tak głęboko, że tworzyły jedność. Przy każdym ruchu rozlegał się cichy rezonans, jak rytmiczne echo fal.

Dostrzegł błony między jej palcami i płynność całej sylwetki. Istota poruszała się bezgłośnie, jakby woda ustępowała jej miejsca. Była kobieca w kształtach — klatka piersiowa wyraźniejsza, piersi

pełne, gładkie i pozbawione sutków, jakby ciało zatrzymało się w połowie drogi między człowiekiem a stworzeniem z głębin.

Minęła ich i odwróciła się ku nim. Oczy o barwie rozżarzonej miedzi przechodziły od głębokiego karminu po bursztyn. W tym spojrzeniu było coś obcego i niepokojącego.

Zephyr próbował się poruszyć, lecz wiedział, że nie może w pełni tego uczynić — tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy znalazł się w świecie Płaczącego Yorin. Isandra również patrzyła, ściskając jego dłoń coraz mocniej.

Istota podpłynęła bliżej, nie odrywając wzroku od jego oczu. Zephyr poczuł lekkie zawirowanie w głowie, jakby zapominał coś, o czym i tak nie pamiętał. Uczucie było silne. I dziwnie znajome.

Gdy była już wystarczająco blisko, dotknęła jego twarzy błoniastą dłonią i przyłożyła swoje usta do jego ust. Doznanie, które czuł wcześniej, wzmoгло się — coś tracił, ale nie wiedział co.

Szybko jednak go puściła, bo w tej samej chwili Isandra wrzasnęła. Krzyk był dwugłosem: jej i Dolorána — choć ten nie powinien mieć przecież dostępu do innych wymiarów niż własny.

Wodny świat zafalował. Zaczął się rozsypywać, jakby coś wyszło z niego samą wodę.

Isandra siedziała na pieńku, ciężko oddychając. Zephyr klęczał obok, wciąż trzymając jej dłoń. Do pomieszczenia powoli wkradał się półmrok. Tkwili w tym stanie dłuższą chwilę.

— Co się właśnie stało? — spytała przestraszona Isandra.

— To memoria... Doświadczyłaś ze mną wymiaru swojego artefaktu, Isandro... — mówił spokojnie, choć sam nie był pewien, czy

rozumie. — Podobnie jak wtedy na Rememoro w wymiarze cienia. Ale niezupełnie tak samo, bo...

Nic nie mówiła. Zdawała się go nie słuchać. Puściła jego rękę i zaczęła kręcić kosmyk włosów wokół palca.

Zephyr patrzył. Na jej twarzy pojawił się uśmiech — zmęczony, ale prawdziwy. Nie musiał pytać, żeby wiedzieć.

Mimo tego, czego teraz doświadczyli, była to radość. Spełnienie.

Nie tylko pozyskała memoria i usłyszała jego szept. Ujrzała wymiar, w którym mogła się z tą pamięcią najpewniej porozumieć.

Była wśród tych „wyjątkowych”.

IV

Isandra jeszcze przez chwilę analizowała to, co się wydarzyło. Potem, niczym obudzona z letargu, zaczęła mówić z werwą:

— Niesamowite! Było to faktycznie kompletnie inne doświadczenie niż wtedy na Rememoro w tym cieniście wymiarze. Tam czułam się przygnieciona jego ciężkością, a tutaj odczuwałam pewien rezonans. Jakby moja świadomość łączyła się ze świadomością tamtej istoty — przerwała, by zaczerpnąć powietrza. — Istoty mitycznej! W życiu nie widziałam ani nie czytałam o niczym podobnym. Przypominała człowieka, ale ta skóra, włosy... I ten dziwny kolor naskórka. Nie wspominając o oczach — mieniących się jak ta muszla.

Podniosła artefakt i skierowała go ku światłu.

— W żadnych podaniach, legendach czy opowieściach żeglarzy nie natrafiłam na taki byt. Ci głównie bajają o potworach morskich i syrenach, które kuszą ich swoim śpiewem.

— To też przypominało kobietę — wtrącił Zephyr z uśmiechem. — I zdawało mi się, że mnie kusi bardzo bezpośrednio.

Sięgnął po bukłak, by się napić — nie wiedział, czy to z pragnienia, czy z chęci zabicia wspomnienia dziwnego pocałunku lub niezręczności, która zawisła w powietrzu po jego słowach.

Isandra zamilkła. Jej twarz przygasła. Zephyr trafił w nieodpowiedni temat i domyślił się, co zrobił.

Jej entuzjazm zgasł, a po chwili szepnęła:

— Wiem, że już napisałam ci kartkę i mam nadzieję, że ją dostałeś... To, co zrobiłam... wtedy w Nikyo...

Oboje patrzyli przed siebie na rozpadającą się ścianę. Cisza była gęsta jak kurz unoszący się w świetle słońca. Tamta chwila uderzyła w Zephyra, jak zawsze, gdy tylko ktoś o tym wspominał. Nie wiedział, co powiedzieć, więc wymamrotał:

— To nie twoja wina. I tak miałbym kłopoty przez tych zepsutych bliźniaków z mojej izby, czy by do tego doszło, czy nie —

— Nie o tym mówię! — Jej głos niespodziewanie uniósł się w przestrzeni. — Przepraszam za to, co zrobiłam. Tobie i tej dziewczynie.

Ostatnie słowa wypowiedziała ciszej, a pierwsza liza upadła na podłogę.

— Isandra...

— Pogubiłam się... Ostatnie dwa miesiące były okropne... — mówiła, ale brzmiała bardziej jak ktoś, kto próbuje odzyskać oddech niż jak ktoś, kto się tłumaczy.

Zephyr wreszcie na nią spojrział. Po radości i uśmiechu nie zostało nic. Nie przerywał jej.

— Gdy się żegnaliśmy na statku... Gdy zdawało mi się, że to koniec... Ocknęłam się razem z Larethe w morzu. Woda ciągnęła nas ku Zaihonowi. Byłam w stanie ledwo ją utrzymać. Słyszałam za sobą krzyki ojca, a ciebie nigdzie nie widziałam... — przerwała, wpatrzona w ścianę.

— Po obudzeniu się na tym klifie z działem... Sama... Nigdy się tak nie bałam. Liczyłam na to, że wszyscy przeżyliście — tak cudownie jak ja.

Złożyła dłonie i zaczęła je powoli ocierać o siebie.

— Przeszłam wtedy tunelami i szybko trafiłam na kapłanów Trzech w pobliskiej osadzie. Mówili w uamento, ale nie rozumiałam ani słowa. Czułam się bardziej zagubiona niż wtedy w dniu katastrofy. Powtarzali mi, że inni też przeżyli. Że przybyli przede mną. Że po mnie przybędą kolejni, bo ich Strażnik Natury ratuje wielu. Pocieszali mnie, że prędzej czy później spotkam bliskich w Trzeciej Stolicy. Dni, tygodnie... aż wreszcie minął pierwszy miesiąc. A was nie było.

Kobieta zaczęła się lekko trząść. Wieczór robił się chłodniejszy, a wraz z pogodą pojawiły się też emocje. Zephyr zdjął płaszcz, otulił nim ją i objął.

— Tam pocieszali mnie, że może trafiliście do Pierwszej Stolicy, na drugim krańcu tego łądu. Mówili, że i tak wszyscy mamy się spotkać w Drugiej. Motywowałam się tym z całego serca...

Uśmiechnęła się blado.

— Dla zabicia czasu, w porównaniu z marynarzami i żołnierzami z *Citadelo*, którzy głównie siedzieli w herbaciarniach i burdelach, ja zwiedzałam miasto. Czytałam, słuchałam, pytałam o to, jak ci ludzie traktują memoria. Okazało się, że inaczej niż my — jak coś żywego, namacalnego. Tchnienie. Chciałam wiedzieć jak najwięcej. Żebym mogła ci pomóc, kiedy się spotkamy. Żeby rozwiązać problem tego cienia, który zrujnował nasze życie.

Zamilkła na moment.

— Każdej nocy mówiłam do ścian mojej izby. Udawałam, że z tobą rozmawiam... Tak jak w naszej kajucie. Ściszoneg głosem, aby nie obudzić Larethe.

Zaśmiała się cicho przez łzy, spojrzała na niego zeszklonymi oczami — i znów parsknęła śmiechem.

Zephyr, lekko obruszony, dopytał:

— Co cię tak nagle rozbawiło?

— Że dokładnie tak brzmiałam, gdy ciebie podrabiałam, odpowiadając sobie na moje teorie i hipotezy o memoria. — Roześmiała się głośniej.

Jej twarz rozjaśniła się, jakby ciężar spadł z ramion.

— Cały ten czas wyczekiwałam tylko momentu ujżenia ciebie, taty, Larethe... kogokolwiek z Rememoro. Gdy przekroczyliśmy bramy tej katedry w Drugiej Stolicy i zobaczyłam, jak tam stoisz. A potem idziesz w moją stronę... Zrobiłam najgłupszą rzecz, jaką mogłam.

Śmiech ponownie rozszedł się po komnacie. Przewróciła oczami — dokładnie tak, jak robiła zawsze, gdy ktoś inny niż ona powiedział lub zrobił coś żenującego.

Mysli Zephyra krążyły w pętli, z której nie potrafił się wyrwać. On również nie miał łatwo, ale musiał przyznać przed sobą jedno — praktycznie od początku pobytu na Zaihon nigdy nie był sam.

Isandra przez ten cały czas nie trafiła na nikogo, kto by ją zrozumiał. Na nikogo, kto znał choć ułamek tajemnicy wydarzeń z dnia zniszczenia ich floty.

Musiała z tym żyć — z nadzieją, że cała ich czwórka przetrwała.

Utrata ojca bez wątpienia była dla niej ciężkim doświadczeniem. Pełnił rolę zarówno rodzica, jak i mentora, którego, pomimo ostatnich nieporozumień na statku, zawsze darzyła szacunkiem i uznaniem.

A jeśli dodać do tego to, co kiedyś się tliło między nim a nią — przyjaźń, a może nawet załątek czegoś głębszego — jej zachowanie w Nikyo przestało być dla niego tak niezrozumiałe jak wcześniej.

Tkwili w ciszy, próbując ułożyć sobie w głowie wszystko, co zaszło podczas ich przedłużającego się spotkania. Wreszcie to Zephyr uciekł z tej pętli swoich myśli.

— Ja też cały czas myślałem o tym, co się z wami działo. Prawie umarłem po lądowaniu na Zaihon. Wyruszyłem z dwudniowym opóźnieniem względem innych. Po tym, jak cień uratował nas z wraku... a te drzewiaste *kaiboki* próbowały wyciągać ciebie i Lare—

— Co?! — krzyknęła piskliwie, zupełnie nie jak ona.

— To bardzo długa historia... — parsknął krótko Zephyr.

Widząc, jak Isandra patrzy na niego z mieszaniną szoku i niedowierzania, wcale się jej nie dziwił. Po chwili coś sobie uświadomił i gwałtownie wstał.

— Coś się stało? — spytała zaniepokojona.

Mężczyzna odpiął dziennik od pasa i podał go ostrożnie w jej stronę, jakby był to przedmiot o większej wartości niż jakiegokolwiek memorio.

— Podejrzewam, że nie będzie to tak dobra lektura jak Kastorinus, Licyniusz czy każdy inny myśliciel lub kronikarz piszący o pamięci świata. — Uśmiechnął się serdecznie. — Ale mam nadzieję, że na razie to wystarczy.

Lzy znów spłynęły jej po policzkach.

— Czy to...?

— Ten sam. — Zephyr chwycił dziennik drugą ręką, otworzył go na pierwszej stronie, chrząknął i przybrał oficjalny ton, karykaturalnie przedrzeźniając samego siebie:

Wpis I w dzienniku III wyprawy wschodniej, autorstwa Zephyra Eurusa, początkującego Scivolaro, protegowanego mistrza map miasta Urbo de Orinto...

Oboje roześmiali się cicho, a ich głosy odbiły się od spróchniałych belek sufitu.

Zephyr zamknął dziennik i ponownie podał go w jej stronę.

— Faktycznie nie brzmi jak Kastorinusz — parsknęła Isandra.

— Uwierz mi. Jak pominiesz pierwsze pięćdziesiąt jeden wpisów, będzie już tylko lepiej.

Kobieta przewróciła oczami i uśmiechnęła się szerzej. Wzięła dziennik obiema dłońmi, przez moment tylko mu się przyglądając — gest tak prosty, że Zephyr odczytał go jako niemą zgodę wobec wszystkiego, co między nimi zaszło.

W tej ciszy przypomniał sobie nagle, że wewnątrz tego dziennika znajdowało się coś, co do teraz pozostawało jego tajemnicą.

— Jest tam też coś, o czym nikomu nie mówiłem. — Zephyr spuścił wzrok. — I proszę, żeby ten jeden szczegół został między nami. Dotyczy mistrza Vilhelma i kapitana Arkonela...

Isandra nie dopytywała. Kiwnęła tylko głową na zgodę.

Pomógł jej wstać i powoli ruszyli ku sali audiencyjnej, choć oboje wiedzieli, że jeszcze tak wiele tematów nie zostało między nimi wypowiedzianych.

Wieczór już trwał. Powietrze stężało, a ruiny Gyo pogrążały się w półmroku. Kiedy Zephyr zamykał za nimi drzwi, Isandra odezwała się żartobliwie:

— Jak to jest być Vocisceptorem i sceptykiem pamięci świata w jednym?

— Bardzo zabawne — odparł sucho.

— Po prostu nie mogę uwierzyć, że ze wszystkich osób na statku to właśnie ty teraz słyszysz tyle szeptów i masz trzy artefakty upchane w kieszeniach, jakby to były zwykłe pamiątki.

— Dwa — poprawił ją, gdy powoli szli w stronę wspólnej sali.

— Jak to?

— Tego jeszcze nie ma zapisanego w dzienniku, więc ci krótko wyjaśnię. Bardzo krótko. Rubin przepadł. Rozszczepiłem go.

Isandra zatrzymała się w pół kroku. Jej oczy rozszerzyły się, a dłoń instynktownie powędrowała do ust.

— Dostarczam ci kolejny szok przed snem. Wybacz.

— Nic z tych rzeczy. Znaczący... może tak. — Isandra uniosła brwi. — Nie wiem, jak to odbierać, bo z tego, co rozumiem, to...

— To ponoć potężna zbrodnia — dokończył Zephyr za nią spokojnie. — A moje pobudki na pewno nie sprawią, że ktoś spojrzy na to inaczej. Chciałem o tym z wami porozmawiać. Najlepiej jutro. Jeśli cokolwiek wiesz o tym procesie, będę ci wdzięczny za każdą informację.

— Pewnie — potwierdziła cicho.

Ruszyli razem dalej i weszli do sali, w której reszta grupy już powinna szykować się do snu.

W niej zamiast tego panowała wrzawa. Praktycznie wszyscy znajdowali się w środku, lecz sala wyglądała już odrobinę inaczej niż rano. Bliżej ścian rozstawiono stare parawany — w lepszym lub gorszym stanie, ale na pewno pozwalały wydzielić dla części osób i grup ich bardziej prywatną przestrzeń. Przygotowano również prowizoryczne źródła światła: kilka glinianych mis wypełnionych tłuszczem i knotami z poszarpanych tkanin. W kilku miejscach ustawiono też pochodnie osadzone w metalowych pierścieniach wbitych w belki.

Przy wejściu głównym, niedaleko schodów, stał jeden Marishi-staro z halabardą, pilnując przejścia, lecz Zephyr podejrzewał, że dookoła pałacu również prowadzono patrole.

Nie zdążył nawet wszystkiemu się przyjrzeć, gdy w jego stronę już szli ludzie z różnymi sprawami.

— Ciężkie życie w roli Protektaro — rzuciła Isandra, oddając mu jego podziurawiony płaszcz.

Już miała odejść, by dać mu czas dla innych, gdy Zephyr zatrzymał ją, chwytając ostrożnie za dłoń.

— Uważaj na tę muszlę. Gdybym wiedział, czym jest, nigdy bym jej nie zabrał z —

— Kolejne zaskoczenie, o którym na pewno dowiem się więcej tutaj. — Pokazała mu dziennik i dodała spokojnie. — Poczekam na ciebie, żebyśmy mogli wspólnie odkryć ten sekret. Tak jak na Rememoro.

Kącik jej ust drgnął, jak gdyby próbowała ukryć uśmiech.

Odeszła w swoją stronę, zostawiając Zephyra wśród petentów.

Raporty o postępach spływały jeden po drugim, aż w końcu, gdy wszyscy już skończyli, podeszła do niego Nahuili. Zephyr obrzucił ją spojrzeniem, które wystarczyło za reprimendę.

Jej perłowe oczy zaświeciły się jednak czystym zadowoleniem ze stworzonej intrygi.

— Trzymałaś ją cały dzień na sam koniec tylko po to?

— Widziałam, że źle się czuje w obecności artefaktów, więc doradziłam jej, żeby oddaliła się od „źródeł” swojego cierpienia. Jak widać, usłyszała przedmiot — i jest już z nią lepiej.

— Wiesz, że nie tylko o to chodzi i sama to zaplanowałaś... — szepnął Zephyr, ale Xoxetka jedynie lekko się ukloniła i oddaliła wyraźnie zadowolona z własnej skuteczności.

Zephyr rozglądał się jeszcze chwilę po pomieszczeniu w poszukiwaniu Yorin, lecz nigdzie nie widział po niej śladu. Podpytał kilka osób — ponoć miała już być w pomieszczeniach na wyższych piętrach. *Skorzystała z danej szansy* — pomyślał, gdy sam ruszył w stronę swojej komnaty, ostrożnie omijając spróchniałe deski i dziury w podłodze tak jak pierwszej nocy.

Tym razem szło mu sprawniej. Miał ze sobą świeczkę, którą podarował mu na odchodne Majordomaro Hartulf wraz z dodatkowym nakryciem i matą. Nie chciał ich przyjąć, ale ponoć wszyscy nalegali, by to właśnie on wygodnie spał.

Wziął od niego również pergaminowy zwój — zamierzał na nim spisać notatki dotyczące dalszej strategii. Dziennik był w rękach Isandry i nie nadawał się do tego celu.

Idąc, nie natknął się na żaden ślad Yorin, więc postanowił udać się bezpośrednio do komnaty dawnego szoguna, w której spędził ostatnią noc.

Rozłożył matę najdalej od okna — tam, gdzie wiatr najmniej uderzał — i położył się pod przykryciem. Płomień świecy drżał przy jego głowie, tańcząc na połamanych deskach.

Zamknął oczy. Świat dookoła niego zgasł, a jego świadomość zanurzyła się w wymiarze Dolorána.

Ten wyglądał tak jak wtedy w twierdzy. Czarne i białe refleksy falowały leniwie na przejrzystej powierzchni.

Zephyr wzdrygnął się, gdy nad jego twarzą pojawiły się dwukolorowa pusta maska chłopca i jego białe oczy. Gdy tylko ich spojrzenia się spotkały, tamten uśmiechnął się szeroko, wybuchnął szaleńczym śmiechem i zaczął biegać po pokoju.

Munjo siedział naprzeciwko niego, spokojny jak zawsze, a Dafri leżała w nogach Zephyra. Chłopczyk w końcu przystanął i rzekł czule:

— Przyjacielu!

— Witaj, Dolorán — odpowiedział ciepło Zephyr, a jego dłoń pogładziła Dafri po grzbiecie. Kotka zamruczała cicho.

— Czcigodny Munjo — zwrócił się Zephyr do cienia siedzącego przed nim. — Mam nadzieję, że mi wybaczysz pozostanie pod nakryciem, ale nie ukrywam — warunki nie sprzyjają.

Poprawił się tak, by choć trochę siedzieć na swoim cienkim bawełnianym futonie i pod przykryciem, nawet będąc w tym niefizycznym wymiarze, w którym nie czuł zimna.

— Mamy tego świadomość, drogi Zephyrze — odparł Munjo głosem, który jak zawsze brzmiał jednocześnie blisko i daleko. — Dolorán wiele nam opowiada o tym, co się dzieje na zewnątrz.

— Jakim cudem?

— Bo Eidolon był paskudą! — wtrącił się chłopczyk. — Chciał tylko brać, a nic nie dawał. I nie lubił moich zabaw.

— Zdecydowanie taki był. — Uśmiechnął się do niego Zephyr.

— Można tak to ująć — skomentował za to Munjo z lekkim westchnieniem. — Niemniej teraz widzimy i słyszymy szerzej.

— Widzieliście Eidolona w tej dziwnej wizji? Albo istotę z wymiaru Isandry? — spytał już poważniej Zephyr.

Na wzmiankę o swoim dawnym „ja” chłopczyk oburzył się natychmiast:

— Dajmy z nim spokój! Już go nie ma! Pograjmy w coś!

Dolorán znów zaczął biegać po pokoju, machając rękami, jak gdyby miał skrzydła, i próbując naśladować latanie w Nikyo.

— Nie mam pojęcia, czym była ta istota. — Munjo odezwał się spokojnie, nie odrywając wzroku od swoich notatek, które jak zwykle niczego nie zapisywały. — Pierwszy temat możemy jednak omówić szerzej, choć nikt z nas nic nie widział.

Zephyr podrapał się po głowie. Ilość wydarzeń, które nawarstwiły się w ostatnich dniach, zaczynała go przytłaczać.

— Mam tyle pytań i wątków. Powinniśmy przejść je po kolei — westchnął. — Najpierw rozszczępienie.

Wypowiadając to słowo, spojrzał prosto na Dolorána. Chłopiec zatrzymał się i spojrzał na niego z uwagą.

— Dolorán. Co się stało z rubinem po tym, jak Eidolon został uwolniony?

— Tu go nie ma. — Wzruszył ramionami chłopiec.

— Nie o to pytam. Co się stało z rubinem w chwili oddzielenia twoich wspomnień od Eidolona?

Munjo przerwał swoje ciche skrobanie.

— Pozwolisz, Zephyrze, że ja udzielę odpowiedzi na to pytanie — powiedział powoli, tym razem odkładając pędzel.

— To, jak jest traktowane rozszczepienie czyichś wspomnień, na pewno już wiesz — zaczął spokojnie Munjo. — Każdy, kto próbuje manipulować tchnieniem przekazanym przez przodków wbrew prawom natury naszego świata, uznawany jest za potępieńca i zbrodniarza. Niezależnie od intencji.

Zephyr przygryzł wargę, niepocieszony faktem, że każdy, kogo spotyka, zdaje się patrzeć na to w ten sam sposób.

Munjo kontynuował:

— Najbardziej podatne na rozszczepienie są przedmioty, które same w sobie są kruche — dające się łatwo złamać, skruszyć albo porwać. Ale proces nie zależy wyłącznie od ich struktury. Liczy się siła, wiek i liczba podejść do tego bestialskiego procesu. Można to zrobić wyłącznie raz. W jednym ciągu. Jeśli zostanie przerwany, tchnienie może się wypalić... i przepaść razem z pamięcią jego stwórcy.

Starzec na chwilę zamilkł, jakby porządkował myśli. Jego ręka drgnęła, chwyciła pędzel i znów zaczęła kreślić po pustym pergaminie niewidzialne znaki.

— Rozszczepienie da się wykonać na dwa sposoby — brutalną siłą albo opanowaną wolą. W pierwszym przypadku nie uczynisz tego gołymi rękoma ani zwyczajnym ostrzem. Potrzebna jest ogromna energia, która sprawi, że sorei pęknie. A nawet jeśli ktoś tego dokona tym sposobem, nie ma pewności, jak zachowa się zawarte w nim tchnienie. Zwykle staje się tym samym co sam proces — brutalną, nieokiełznaną siłą. Taka też zostanie zapisana w pamięci. Mówi się, że takie sorei jest daleko od swego pierwotnego źródła.

Munjo uniósł lekko głowę, a jego cień zafalował na przezroczystej powierzchni wymiaru.

— Drugi sposób jest ci już znany — dodał ciszej. — Przywołanie wspomnień natchnionego artefaktu i znalezienie chwili, w której chcemy... — zawiesił się, jakby ostrożnie ważył słowa i chwilę trwał w tym stanie.

— Najmocniej przepraszam za moment zawahania. Wynikało ono z tego, że są dwie drogi. Wydzielamy część tchnienia, dzieląc jego wspomnienia na wybraną liczbę fragmentów niczym księgę dzieloną na rozdziały... albo próbujemy je powielić na nowy przedmiot.

— Coś w rodzaju kopii? — dopytał Zephyr, aby lepiej zrozumieć, a starzec tylko kiwnął twierdząco i kontynuował:

— Taki odpis jest jednak czymś innym. Każde wspomnienie w umyśle żywej istoty jest zawsze rekonstruowane — nieodtwarzane. Istoty rozumne często myślą te pojęcia i nie rozumieją ich sensu.

Westchnął i dalej mówił:

— Innymi słowy, wspomnienie tworzy się na nowo, za każdym razem, gdy wracamy do przeszłości. Mózg nie jest archiwum, lecz tłumaczem. Kiedy wspomnienie zostaje przywołane, nie sięgamy po jego pierwotny zapis, lecz po jego własną interpretację. Każde przypomnienie lekko je przekształca: dodaje emocje z chwili teraźniejszej, gubi szczegóły, wzmacnia inne. W ten sposób pamięć stale się przepala i przepisuje, tworząc nieustanny palimpsest — warstwę po warstwie. Dlatego nawet w doskonałej pamięci świata nie powinna być możliwa prawdziwa trwałość. Istnieje tylko ciągłość przypomnień i szereg interpretacji.

Munjo uniósł głowę.

— Z tego powodu każdy kolejny odpis sorei nosi w sobie zniekształcenie — nie kopię, lecz echo oryginału.

— Shouken Mito mi o tym krótko wspominał — wtrącił Zephyr, korzystając z chwili oddechu w wykładzie.

— Zatem wiesz dobrze, że każda z tych prób jest profanacją cudzej pamięci — odparł twardo Munjo.

Urwał mowę i ponownie zatrzymał dłoń, która kreśliła dotąd niewidzialne znaki. Cieniste oczy uniósł w stronę Dolorána.

— Twój przypadek jest jednak inny. I tego nie da się podważyć.

Zephyr, który już otworzył usta, by się bronić, natychmiast zaniemówił.

Nie spodziewał się, że starzec odejdzie od przyjętej narracji.

— Wyróżnia się na wielu płaszczyznach — kontynuował Munjo. — W samej istocie przedmiotu, który rozszczepiłeś. W miejscu, gdzie tego dokonałeś. W sposobie, którym to uczyniłeś.

W przedmiocie, w którym tchnienie osiadło. I, mimo wszystko, w celu, jaki ci przyświecał.

Zawiesił głos, a jego cień poruszył się, jakby unióśł niewidzialny ciężar.

— Takich przypadków moja pamięć nie zawiera.

Nastąpi cisza. Tylko Dafri mruczała cicho w nogach Zephyra, jakby swoim szeptem wypełniała lukę między słowami.

Zephyr długo analizował słowa Munjo — każde jak wielościenną kostkę, którą musiał obrócić w myślach kilka razy, aby uzyskać pożądaną wynik.

Wreszcie jego wzrok nabrał ostrości. Otworzył usta i wypowiedział konkluzję.

— Mówiąc o istocie przedmiotu, masz na myśli już rozszczerpiony artefakt — zaczął Zephyr spokojnie. — Rozumiem, że rozszczepienie to proces, który może zajść tylko raz dla jednej pamięci. Nieważne, na ilu częściach czy kopiach — dokonuje się go raz. Ja rozszczerpiłem coś, co już wcześniej zostało rozszczerpione. Na trzy części uzupełnione o czwartą, zdającą się jej sztucznym przedłużeniem i spoiwem pierwszych trzech. Teraz jeden z tych trzech elementów został podzielony na dwa kolejne. Sztuczna część została oddzielona od ludzkiej.

— Zgadza się — przytaknął Munjo. — Nie potrafię w pełni wyjaśnić ani zrozumieć, czym jest Eidolon, jak powstał ani jak jego pamięć zachowuje się względem tutaj obecnego Dolorána i pozostałych części. Jedno jednak jest dla mnie pewne: żadna z nowych części, które stworzyłeś, nie wygasła tak, jak powinna.

— Drugie odchylenie — podjął Zephyr. — Miejsce. Nie powiedziałeś tego wprost, ale podejrzewam, że wszystkie znane ci przypadki rozszczepienia zachodziły w świecie fizycznym. Ja dokonałem tego tutaj — w tym wymiarze, we własnej podświadomości.

— Ponownie trafne spostrzeżenie. — Munjo skinął głową. — Miejsce, w którym się znajdujemy, nie jest materialne, a jednak istnieje. Pamięć świata również tu przenika i w pewien ograniczony sposób potrafi wpływać na to, co dzieje się w i poza wymiarem.

Obaj ponownie spojrzeli w tym samym momencie na Dolorána. Ten siedział zgarbiony, przez chwilę jakby zamyślony — po czym nagle rozłożył ręce i wrzasnął, uderzając nimi o księżycową posadzkę:

— Przyjacielu Zepyyyrze! Za-ba-wa!

Gdy chłopiec zaczął się pieklić, wokół jego ciała zaczęła się formować znajoma esencja. Nie była tak mroczna jak ta, która towarzyszyła Eidolonowi, lecz szara, niemal grafitowa. Pulsowała w rytm jego gniewu, rozlewając się po podłodze jak dym odbijający światło.

— Dobrze — rzucił Zephyr z uśmiechem — ale najpierw musisz zgadnąć odpowiedź na tę zagadkę.

Ten, kto mnie tworzy, nie potrzebuje mnie, kiedy to robi.

Ten, który mnie nabywa, nie potrzebuje mnie dla siebie.

Ten, kto mnie użyje, nie będzie o tym wiedział.

Czym jestem?

Dolorán przyłożył palec do skroni i zaczął nim kręcić, jakby próbował wydobyć odpowiedź z samego wnętrza głowy.

— Dam ci odpowiedź — dodał Zephyr. — Lubisz ten temat.

Chłopiec parsknął śmiechem. Przed nim zaczęła się materializować forma z tej samej materii, której Zephyr niegdyś używał do zmiany otoczenia wymiaru. Po chwili kształt nabrał znanej formy — konia na biegunach.

Dolorán z triumfem wskoczył na jego grzbiet i, bujając się w przód i w tył, śpiewnie powtarzał słowa zagadki, jakby zamieniły się w dziecięcą rymowankę. Każde jego kołysanie zostawiało w powietrzu smugę światła i cienia, jakby echo ruchu odbijało się od samej jego pamięci.

— Sposób — kontynuował Zephyr. — We wspomnieniu Eidolona sztylet na pewno nie został rozbity siłą, a już na pewno niefizyczną. Przypominało to raczej niewidzialną rękę, która unosiła się nad ostrzem i wygięła je w jednym precyzyjnym momencie. W moim przypadku dotknąłem artefaktu w wymiarze cienia, dokonując dokładnie tego samego. Wybrałem moment cięcia w serii pokazywanych mi obrazów — i dotknąłem tego punktu pamięci. Czułem, jakbym jaźnią przerywał wspomnienia, nie materią cienia.

— Pierwotny twórca Eidolona musiał więc posiadać potężną siłę woli... — odrzekł Munjo z wyraźnym namysłem.

— I to właśnie mnie martwi. — Zephyr zniżył głos. — Gdy go słuchałem zeszłej nocy... kiedy rozmawiał z tą osobą... Eidolon wspomniał, że służy jej od dwustu lat. Czy mamy do czynienia z człowiekiem? Nie ma ludzi, którzy mogliby żyć tak długo...

Munjo milczał. Jego cień drżał lekko, jakby sam musiał przetrwać sens tych słów. Wreszcie powiedział:

— Spytajmy naszego gospodarza, Zephyrze. Niech sam powie, czy pamięta jeszcze, kiedy żył jako człowiek.

Pomysł wydawał się prosty — przynajmniej pomógłby im dowiedzieć się czegoś więcej o samym sztylcie, nawet jeśli wiek nie okaże się zbieżny.

Dolorán wciąż bujał się na swoim koniu, nucąc cicho powtarzaną zagadkę.

— Dolorán. — Zephyr spróbował delikatnie. — Pamiętasz, kiedy się urodziłeś?

Chłopiec nie zareagował. Koń kołysał się dalej, a echo jego śmiechu brzmiało jak skrzypienie drewna. Zephyr powtórzył pytanie.

Tym razem chłopiec zatrzymał się, spojrzał w bok, a potem odpowiedział tonem zaskakująco rzeczowym:

— Odpowiem... za kolejną odpowiedź. Heh.

Zephyr westchnął i skinął głową. Mimo że Eidolon nie był obecny, nadal nie mógł sięgnąć luźno do wspomnień Dolorána. Techniki przywoływania pamięci artefaktów działały na Munjo i Dafri, lecz nie na niego. Chłopiec zawsze zamykał przed nim drzwi — jakby chronił coś, czego sam nie rozumiał lub był ponad te proste sposoby komunikacji.

— Zgoda — przytaknął Zephyr. — Oto wskazówka:

Gdy się mnie wreszcie używa, tylko chwilę patrzę w niebo, a potem nastaje ciemność.

Dolorán zmarszczył brwi, a jego ciało zadrżało. Zatrzymał się w połowie ruchu i przez moment wyglądał, jakby coś w nim pękało. Po chwili znowu się uśmiechnął.

— Hmm... — zamruczał. — Czterysta osiemdziesiąty dziewięty. W sensie. W dawnym kalendarzu, ale nie wiem którym. Tak pamiętam. Dziwne... — Zaśmiał się chłopiec.

I po tych słowach wystawił mu język, jakby nic się nie stało.

Dolorán żył u schyłku Ery Objawień — a więc jego pamięć przetrwała ponad tysiąc lat. Myśli Zephyra jeszcze bardziej się kołatały.

W wizjach, które dotąd widział, nie było żadnych jednoznacznych znaków. Można było jedynie zgadywać po krojach szat i detalach architektury. Plac w Isaberii, choć znajomy z rycin, nie przypominał już niczego, co znał z obecnych czasów. Był jak cień miasta, które mogło być każdym w tamtym rejonie.

I wreszcie zastosowane datowanie. Nie mógł pojąć, czemu Dolorán podkreślił znaczenie kalendarzy. Ten z Iberii był podobny do tego z Tusci. Oba liczone od założenia swoich stolic, ale Isabertia powstała kilka lat później niż Palatynum. Niezależnie od tego, era pozostawała ta sama.

— Nietrafiony trop — odrzekł Munjo z wyczuwalnym wyrazem zawodu. — Co nie znaczy, że nie jest ciekawy. Nasz drogi Dolorán jest tchnieniem bardzo wiekowego i... skażonego artefaktu.

Zephyr patrzył na bawiącego się chłopca, który beztrząsco bujał się na koniku. Sztylet najpewniej pochodził z jego dorosłego życia — życia, w którym parał się czymś niegodnym, zakazanym. Jakimś sposobem przetrwał kilkaset lat, aż znalazł go stwórca Eidolona i uczynił z niego to, czym jest teraz.

— Nawet jeśli... — odpowiedział Zephyr, nie odrywając wzroku od dziecka — to ten, kto dokonał rozszczępienia, albo żyje ponad

dwieście lat, albo ktoś znalazł Eidolona i korzysta z jego mocy. Oba warianty są... niepokojące.

W tej chwili w powietrzu coś zadrżało. Cienie wzdłuż ścian poruszyły się, jakby wymiar sam zareagował na jego słowa. Zephyr zamilkł i odetchnął głęboko. Został ostatni punkt, o którym mówił Munjo — ten, na który nie znał jeszcze odpowiedzi.

Sam cel rozszczępienia był znany i nie wymagał ponownego przytaczania.

— Wspomniałeś o przedmiocie, w którym jest osadzony Dolorán. W wizji Eidolon posiadał rubin w całości, nie licząc drobnego pęknięcia. Myślałem, że jego część mogła pozostać w tym wymiarze lub podświadomości Dolorána... lecz to, co zobaczyłem, nie pozostawia złudzeń, że tak nie jest.

— Drogi Zephyrze — odezwał się Munjo z cieniem uśmiechu.

Tkwi w tobie, ale nie wiesz, gdzie.

Jest namacalny, lecz niewidoczny.

Wydaje się skomplikowany, ale jest banalny.

A żeby go odkryć, wystarczy spojrzeć na siebie... na opak.

Zephyr zacisnął powieki. Nie znosił, gdy Munjo wplatał swoje lekcje właśnie w takich chwilach — i tym razem najwyraźniej postanowił odwdziżyć mu się jego własną metodą praktykowaną na Doloranie — zagadką.

Przeszli do kolejnego tematu.

Rozmowa o potworze z podwodnego wymiaru odwiedzonego z Isandrą nie przyniosła nowej wiedzy. Ani Munjo, ani Dolorán, ani Dafri nie wiedzieli, czym była ta morska zjawia o kobiecej twa-

rzy. Zephyr, przypominając sobie jej wzrok i dotyk zimnych ust, czuł, że coś z niego ubyło. Nie wiedział tylko — co.

Nagła, gwałtowna reakcja Dolorána była ponoć spowodowana tym, że i on ujrzał w swoim wymiarze tę istotę. I ta miała ponoć „robić mu bałagan”. To jedynie potwierdzało, że istota mogła istnieć ponad granicami światów lub że Dolorán był w stanie przenikać do innych wymiarów.

Zmęczenie dopadło Zephyra nagle. Opuścił pamięci, zgasił świecę i niemal natychmiast zasnął — w coraz chłodniejszym powietrzu, w którym wciąż brzmiały słowa czcigodnego Munjo:

„Spójrz na siebie... na opak”.

V

Kolejny dzień w Gyo zaczął się mniej leniwie niż pierwszy.

Zephyr stał przy oknie w pokoju na niższym piętrze niż jego „sypialnia”, z którego rozciągał się widok na zniszczone dziedzińce i opuszczone ulice. Z góry przypominało to mrowisko w ruinach — ludzie poruszali się między przechylonymi murami, dźwigali belki czy przekazywali sobie wiadra z wodą. Dźwięk pracy, ostry i równy, odbijał się od pustych ścian pałacu. Zephyr notował w zwoju, który dał mu Hartulf:

Drugi dzień w ruinach Gyo, a wygląda, jakbyśmy budowali miasto od zera...

Słyszał, jak Metiistaroj przemierzali kondygnacje, sprawdzając stan pomieszczeń. Skrzypienie desek i echo ich głosów niosły się po korytarzach i pewnie aż na sam dziedziniec. Z czerwonego pigmentu, rozrobionego z wody i pyłu z cegieł, kreślili znaki na futrynach: krzyżyk dla pokoi grożących zawaleniem, okrąg dla tych, które można było naprawić, kreskę dla już zabezpieczonych. Wbijali prowizoryczne kliny, podpierali stropy, a tam, gdzie deski były przegniłe, rozciągali bambusowe rusztowania. To oni wskazali mu, gdzie może bezpiecznie obserwować panoramę miasta dla swoich prac.

Na zewnątrz Pretorój działali według planu nakreślonego przez Majordomaro Hartulfa. W małych oddziałach rozeszli się po pustym mieście, szukając wszystkiego, co mogło się przydać do napraw. Z opuszczonych domów zdzierali drzwi i belki, z warsztatów

wynosili nadające się do użytku niezardzewiałe metalowe okucia, a w dawnej kuźni znaleźli kilka połupanych kowadeł, które służyły teraz jako podstawy pod młoty. Wśród ruin natrafili też na zapasy wapna i stos nienaruszonych dachówek. Stare lampiony zniesiono do pałacu — planowano je wykorzystać po zmroku, by rozjaśnić korytarze.

Wszystkie zdobycze układano tymczasowo na dziedzińcu, u stóp kamiennych schodów prowadzących do pałacu i z daleka od brzegu jeziora. Niebo pozostawało czyste, a powietrze suche, więc mogli bez pośpiechu przenieść wszystko do środka później — gdy dołączą do nich ludzie z innych komórek.

Farmistaroj, wspierani przez Maristaroj, pracowali w dawnych ogrodach. Zephyr, choć był po drugiej stronie pałacu, co jakiś czas słyszał komendy Dexiona, który z niejasnych powodów wciąż udawał jego prawą rękę.

Z tego, co przekazał mu Renzo, syn Amehy Nyuan, któremu powierzono dostarczanie wiadomości, jedna grupa w ogrodach oczyszczała tarasy z chwastów, budowała groble i wyznaczała miejsca pod pola ryżowe. Druga przygotowywała grządki dla prosa, fasoli, daikonu i kapusty. Sadzonki bambusa przeznaczono pod uprawę — jego młode pędy miały stanowić pokarm na późniejsze miesiące, a dzikie lodygi służyły do wzmocnień i rusztowań. Z sadzonek morwy, które zabrali ze sobą, planowano stworzyć zagajnik; liście miały w przyszłości posłużyć nawet do hodowli jedwabników. Znaleźli też w ogrodach dzikie, aromatyczne rośliny o wysokich, smukłych pędach i czerwonych kwiatach o żywicznym za-

pachu. Na Zaihon zwie się je *hinashu* — z ich nasion tłoczono czerwony olej, którym można było zasilać znalezione lampiony.

Na obrzeżach ogrodów odkryto też kilka dzikich drzew o wciąż żywych konarach — najpewniej śliwy i grusze. Niektóre nawet kwitły, jakby nieświadome, że miasto dawno umarło, a zima zbliża się nieubłaganie. Ich owoce miały być pierwszym świeżym pożywieniem zrodzonym na ziemi, jakie ujrzeli w Gyo, i symbolem, że ta wciąż pamięta dawnych ogrodników.

Hartulf rozrysował kredą plan rozmieszczenia zapasów, którego atramentowy odpis na zwoju przyniósł mu później Renzo.

Na parterze — najbardziej surowym i chłodnym — przygotowano kwatery dla Pretoraj i wydzielono arsenał, w którym przechowywano włócznie, bełty, pancerze, pochodnie i zapasy oliwy. Worki z prochem przeniesiono do osobnej, murowanej części magazynowej we wschodniej części pałacu, gdzie kiedyś znajdował się najpewniej skarbiec. Grube ściany i brak okien czyniły z niej idealne miejsce dla łatwopalnych substancji i cięższego uzbrojenia ich obozu.

Tuż obok dawnej kuchni, w części pałacu przylegającej do wewnętrznej dziedzińca, urządzono spiżarnię — chłodne pomieszczenie z glinianą posadzką i dwoma małymi otworami wentylacyjnymi, typowymi dla starych budowli. Tam trafiały zapasy ryżu, suszonych ryb, ziół i warzyw, które przynieśli ze sobą w koszach i tobołkach z Nikyo. Tam mieli też składować wszystkie złowione zdobycze z jeziora.

Kuchnia, która przetrwała próbę czasu najlepiej, znów tętniła ogniem. Na palenisku bulgotał ryżowy kleik, a dym snuł się w

stronę jeziora, niosąc ze sobą zapach ciepła i spokoju, który dawno opuścił te mury.

Na tyłach, poza pałacem, w pobliżu starych łaźni, powstały kąpielisko i prowizoryczny wychodek, z dala od spiżarni i kuchni. Tam też była studnia, z której czerpano wodę do mycia i gaszenia ognia.

Sala audiencyjna na pierwszym piętrze nadal miała pełnić funkcję wspólnej sypialni, a komnata rad — w której jeszcze wczoraj rozdawali artefakty — stała się miejscem przechowywania papieru, mat, atramentu i narzędzi pisarskich. Wzdłuż ścian ustawiano znalezione skrzynie, które mogły być przeznaczone na zwoje. Zaś przy oknie wychodzącym na jezioro pozostawiono niewielkie stoliki, przy których sporządzano raporty i kopie map.

*Teknikar*oj i część *Marśistaroj* pracowali przy ogrodzeniu oraz dawnej bramie — to właśnie tym zajęciom Zephyr przyglądał się najczęściej.

W dole, na dziedzińcu, Aldonza wraz z nieznanym mu mężczyzną odmierzali odległości sznurkiem i nanosili kredowe znaki na ziemię. Obok inni wbijali bambusowe pale, tworząc prowizoryczne ogrodzenie. Bramy, nadgryzione rdzą i czasem, wzmacniano deskami i linami, by choć częściowo odzyskały dawną wytrzymałość. Wzdłuż kamiennego płotu kopano płytkie rowy odwadniające — miały nie tylko odprowadzać wodę z zalanych terenów, lecz także spowolnić ewentualny atak.

Zephyr, poza doglądaniem prac i przyjmowaniem raportów, sam nie próżnował.

Wskazany mu pokój miał coś, czego brakowało w komnacie z widokiem na jezioro i zatopione budynki — ogromny stół. Rozłożył na nim część map, wciąż poplamionych atramentem po walce z zuribeltzem, i na czystych zwojach zaczął odtwarzać to, co utracił.

Chciał też wkrótce przeprowadzić rozpoznanie okolic Gyo — określić położenie najbliższych wiosek i sprawdzić ich nastawienie wobec obcych i samego miasta. Z jakichś powodów musiało być opuszczone, a jednym z nich najpewniej była obecność źródła pamięci.

Poprosił Renzo, by przyprowadził z dziedzінca Ryohantu i swoją matkę. Gdy cała trójka pojawiła się na piętrze, Zephyr uklonił się, przeprosił ich za wspinaczkę i wyjaśnił zamiar:

— Chciałbym was poprosić o krótką wyprawę zwiadowczą wokół Gyo. Musimy dowiedzieć się czegokolwiek o okolicy i upewnić, że nikt nie interesuje się miastem i pałacem. Przy okazji możecie zebrać wieści o tym, co dzieje się obecnie na Zaihon. Jeśli uda się zdobyć nasiona, sadzonki, ryby albo papier czy maty — tym lepiej. Weźcie tyle pieniędzy, ile trzeba.

Ryohantu, stojąc sztywno z niepewną miną, czekał na rozkaz wymarszu. Kobieta przez chwilę się wahała.

— Jeśli to za wiele... — dodał ostrożnie Zephyr, widząc jej złożone dłonie.

— Nie — delikatnie mu przerwała. — Prosiłabym tylko, żeby mój syn został w pałacu.

— Oczywiście. Zajmiemy się nim podczas waszej nieobecności. Jednocześnie wybrałem was, żeby Ryohantu mógł udawać pani

syna — po bardzo powierzchownych cechach, za co proszę mi wybaczyć. Macie podobny kolor włosów i oczu. Jeśli chce pani większej pewności, możecie wziąć kogoś jeszcze.

— Podołamy — odparła cicho kobieta, lekko się kłaniając.

— Wyruszcie, gdy tylko będziecie gotowi. Dziękuję za to poświęcenie. — Zephyr odwzajemnił ukłon, a piechur zasalutował.

Na odchodne polecił mu tylko:

— Zmień ubranie na cywilne i zabierz wyłącznie nóż.

Dzień wchodził w drugą fazę, a Zephyr wciąż nie opuszczał pokoju. Po mapach Zaihonu przyszła kolej na szkice Gyo, które rysowywał z pamięci i widoku z okna. Oznaczał ulice, wąskie gardła i zniszczone skrzyżowania, próbując zrozumieć topografię ruin. Na zewnątrz ruch ustał — nastąpiła pora posiłku. Majordomaro Hartulf zarządził trzy dzienne przydziały, z których środkowy był najobfitszy.

Scivolaro — a obecnie już Protektaro Eurus — nie czuł jednak głodu. Wciąż nie potrafił przyzwycząć się do nowego tytułu. Nigdy nie miał nic wspólnego z wojskiem, a przecież to spośród *Kapitanerów* wybierano przywódców wypraw.

Myślami wrócił do Neriusa, który nigdy nie chciał być mistrzem, a jednak w oczach wielu ludzi tu obecnych nim był. W tym dla Zephyra. W końcu zdołał przygotować ich ucieczkę i poprowadzić ich dalej.

Pomyślał również o mistrzu Vilhelmie, który, mimo swoich pewnych odchyłeń, zdawał się zawsze umieć reagować na pojawiające się zmienne.

A skoro oni dwaj potrafili się dostosować do zmiennych warunków, to i on musiał podolać jako ich podopieczny.

Zapach kleiku z warzywami wyrwał go z zamyślenia. Chwilę później rozległo się nieregularne pukanie we framugę drzwi. W progu stała Yorin, trzymając w dłoniach dwie miseczki.

Od starcia w twierdzy i pierwszego widoku Gyo nie zamienili ze sobą ani słowa. Mijali się, jakby każde z nich szukało właściwego momentu. Wyjaśnienie sprawy z Isandrą stanowiło tylko jedną stronę medalu — pozostawała druga.

— Szaleńcza praca, jak zawsze, zajmuje całą twoją uwagę — rzuciła z przekąsem, ruszając powoli w stronę stolika i stawiając kroki w dziwnym rytmie, jakby nogami kreśliła okrąg.

— Gdybym wiedział, że słyszenie tylu szeptów doprowadzi mnie nie tylko do szaleństwa, ale i do tego — już dawno posłuchałbym rady Eidolona i nie dotknąłbym żadnego sorei. — Zaśmiał się pod nosem, nawiązując do ich dawnej kłótni w Shokyo.

Kobieta odstawiła miski na niezajęty przez zwoje fragment blatu i podeszła do okna, tym razem już zwyczajnym krokiem.

— Jak sobie radzisz? Z tym wszystkim? — spytał, przekładając mapę.

— W porządku. Przeżyłam z waszym Unaro tyle, że już mało co mnie zaskoczy. A spanie na spróchniałych deskach to przy tym prawdziwy luksus. Zresztą mnie też dano matę i nakrycie — w podziękę za poświęcenie przed ratuszem i w tamtym zamku na wyspie.

— Gdzie nocowałaś dzisiaj? Pytałem kilka osób i...

— Na tym piętrze, w komnacie wychodzącej na północny dziedziniec i plac przed ogrodami. I właśnie dlatego do ciebie przyszedłam.

— Coś nie tak z tamtym obszarem? — zapytał, sięgając po miseczkę. Zapach rozbudził w nim głód.

— Nie jestem pewna. Chodzi o to drzewo, które rośnie na środku placu. Wspominałam ci.

— Suche, białe? To samo, które mijaliśmy, szukając najmniej zalanej drogi do pałacu? Faktycznie pamiętam.

— Zgadza się. Nie jestem pewna, ale — zawahała się, gładząc palcami swój długi czarny warkocz — wydaje mi się, że widziałam tam kogoś, kto przemykał w stronę miasta i murów.

Jej słowa natychmiast odebrały mu apetyt.

— Niemożliwe, żeby ktoś tak szybko nas namierzył! — niemal krzyknął.

— To nie to — odparła, nadal patrząc przez okno. — W nocy, gdy go zauważyłam, stał przy tym drzewie i... wyglądał, jakby z nim rozmawiał. Nie mogę być pewna — światła było mało, twarzy nie widziałam. Nosił płaszcz. Ale był wysoki. Wyższy od ciebie. Nawet od Dexiona czy Volkmara.

Zephyr przełknął ślinę, czując, jak ciężar ciszy osiada w powietrzu. Zastanawiał się, czy to, co zobaczyła, było złudzeniem, duchem pamięci czy początkiem kolejnego problemu, który dopiero zaczynał się formować.

— Może powinniśmy wysłać tam Volkmara i...

— Mam inną propozycję — przerwała mu, odwracając się ze swoim charakterystycznym błyskiem w oczach. — Po posiłku zabieram cię na spacer.

Uśmiechnęła się — dokładnie tak jak wtedy, gdy między nimi nie było żadnej zwady.

Przez moment krótszy niż mrugnięcie chciał zaprotestować, lecz to był już tylko odruch dawnego Zephyra. To ona nauczyła go — boleśnie — by nie poddawać się szaleństwu. A przecież mógł połączyć przyjemność z misją. W końcu to ona zauważyła kogoś, kto mógł stanowić zagrożenie. Wiedział, że poradzą sobie sami, a jeśli nie — narobią tyle hałasu, że inni przyjdą im z pomocą.

Nie musiał nic mówić. Wystarczył ciepły uśmiech i skinienie głową.

Podał jej drugą miseczkę, a potem — stojąc obok siebie przy oknie — w milczeniu pałaszowali pałeczkami kleik przygotowany przez Vivtenisoj. Zephyr raczej próbował jeść — nadal nie był biegły w sztuce posługiwania się tymi utensyliami. Spoglądali na panoramę ruin Gyo, która zdawała się ożywać zaraz po drugim posiłku dnia.

Po tym, jak skończyli, padło pytanie z jej strony jak zawsze spokojnym i czułym tonem:

— Idziemy?

Bez słowa opuścili jego komnatę.

Zeszli do sali audiencyjnej, która powoli uzyskiwała miano *Sali Wspólnoty*. Przy Zephyrze pojawiło się kilku petentów. Jeden z wczorajszych nowych Słyszących natchnionych przez *memorio* opowiadający o usłyszonym szepcie, drugi mówiący o znalezieniu

krzaków z jadalnymi jeżynami, a ostatni Milen pytający swojego „wspólnika”, w czym może pomóc.

Chłopiec wyraźnie odżył — najpewniej Nahuili pomogła mu ułożyć w głowie tragedię, która ich spotkała. Pierwszego petenta Zephyr delegował do Xoxetki, drugiego do Haruin Akory, a Milenowi polecił zakolegowanie się z Renzo i pomoc w przekazywaniu informacji — w końcu dobrze się w tym odnajdował i drugi chłopak również kogoś stracił w Nikyo, choć zdawał się nie być w pełni tego świadomy, lub pani Nyuan pomogła mu w zrozumieniu tej sytuacji.

Yorin przyglądała się temu z boku z radością. Odżyła. Odkąd dowiedziała się o obłudzie Zhanshou, wydawała się zawsze w pewnym stopniu przybita. Również w katedrze fałszywego Unaro w Nikyo, gdzie dołączyła do Wspólnoty, by być blisko Zephyra i jego towarzyszy. Teraz przypominała tę samą Yorin z czasów, gdy opuszczali Asamizu — pewną siebie, entuzjastyczną i spokojniejszą.

Zephyr wreszcie dostrzegł w tłumie kobietę, która podarowała mu przybory do pisania pierwszej nocy w pałacu. Miliana Velinicz była jedną z *Logikarój*, „uczennicą” Neriusa, pochodzącą z rodziny mieszanej z Nikyo. Podobnie jak Ryohantu odziedziczyła po dziadkach misję. Zamienili kilka zdań, z których wynikało, że najlepiej radziła sobie w matematyce — pomagała Neriusowi w szacunkach zapasów i pomiarach. Szybko jednak została wezwana przez Majordomaro.

Udali się do niego we trójkę. Po oddaniu miseczek i wysłuchaniu jego narzekania na higienę niektórych członków ich nowej

Wspólnoty, zostawili z nim Milianę, po czym ruszyli na główny dziedziniec. Tam natknęli się na Aldonzę, która dalej wykonywała wyliczenia.

— Zephyr, Yorin, huhu — powiedziała mniej pewnie niż zwykle. — Przedstawiam wam mojego kolegę z zespołu z katedry Nikyo. Dionares Vektyr, Technikaro...

— Wcześniej *Pafistaro* z Urbo de Oriento, uczestnik drugiej wyprawy wschodniej. — Ukłonił się mężczyzna z lekko przesadną gracją.

— Vesnara wspominała, że ostatnia osoba, która dołączyła do Teknikarój w Nikyo, zrobiła to piętnaście lat temu — oznajmił podejrzliwie Zephyr, pamiętając rozmowę na placu przed katedrą.

— Koleżanka Ljubarew na pewno nie uczestniczyła przy moim przybyciu, bo miała wtedy najpewniej dwadzieścia lat. Podobnie koleżanka Rabke, która razem z tym śmieciem Drususem zajmowała się lizaniem butów Zailhonczykom i ich patronom. — Spojrzał na Yorin i lekko się uklonił. — Nic osobistego. Wiem, że nie wszyscy tacy jesteście.

— Nie chowam urazy — odparła spokojnie i odwzajemniła ukłon.

Przeglądali mu się jeszcze przez moment. Dionares nosił te same szaty co oni — z wzorami z czasów drugiej wyprawy. Miał koło trzydziestu lat, był postawny i dobrze zbudowany, wyższy o pół głowy od Zephyra. Krótka, spiczasta bródka bez wąsów nadawała mu aroganckiego wyrazu, a zielonoszare oczy, ciemniejsze od Zephyra, świdrowały rozmówcę z niepokojącą uwagą. Karnację miał podobną do Isandry — w końcu nazwisko zdradzało jego ery-

kanojskie korzenie. Wydawał się nad wyraz wylewny, a język miał ostrzejszy niż u większości Technikarój.

Zephyr już chciał ich przedstawić, ale nie zdążył się odezwać, bo Dionares natychmiast go uprzedził:

— Nie ma potrzeby, Protektaro Eurús. Wszyscy wiemy, kim jesteś. Podobnie jak paniénka Okabe. Volkmar powiedział nam to, co sam wiedział, i to, co usłyszał od Kapitanero Ikariun, a ta — najpewniej — od ciebie. — Kończąc zdanie, rzucił krótkie spojrzenie w stronę Yorin.

— Kapitanero Ikariun? Wybrali Anari? — Zephyr uniósł brwi z wyraźnym zaskoczeniem.

— Tak! — krzyknęła z entuzjazmem Aldonza. — Dex oburzył się tym faktem, ale tak wynikało z ich głosowania, huhu!

Po tych słowach jednak jej energia przygasła, a Zephyr od razu domyślił się, co ją trapi.

— Aldonzo... wiem, o czym myślisz. Nikt nie zabiera ci roli Technikaro. Nie jesteśmy w Urbo de Oriento ani w Nikyo. Rób to, w czym czujesz się najlepiej i nie przejmuj się formalnościami.

Spojrzała na niego z niepewnym uśmiechem, jakby nie dowierzała temu, co usłyszała.

W Unaro wybór praktycznie nie istniał — przypisanie do jednej komórki było trwałe, dopóki nie nastąpił awans lub transfer zlecony z góry. Teraz jednak nie byli już w Unaro. Walczyli o przetrwanie i realizację misji, a to wymagało elastyczności, nie sztywnych zasad.

— Zephyr! Dziękuję! — Objęła go z całych sił, aż coś mu chrupnęło w żebrach.

— Nie... ma... za... co... — wydusił z siebie z trudem, a Yorin tylko parsknęła śmiechem, patrząc na szczęśliwą przyjaciółkę i ledwo żywego Zephyra.

Dionares dodał spokojnie, choć w jego tonie pobrzmiwała nuta uznania:

— Część ludzi mówiła mi, że przypominasz im Neriusa. Kiedy przemawiałeś do nas wczoraj, nie widziałem tego podobieństwa. Chyba dopiero twoje drobne czyny pozwalają je dostrzec.

— Miło słyszeć — odpowiedział Zephyr, wciąż łapiąc oddech po uścisku Aldonzy, i dopytał. — Byłeś z nim blisko?

— Niezbyt, a właściwie wcale. W ciągu niespełna dwunastu lat znajomości odbyliśmy w życiu trzy rozmowy. Pierwszą, gdy próbował mnie zwerbować do swoich, jak mi się wtedy wydawało, szaleńczych intryg zaraz po pojawieniu się w Nikyo. Drugą, gdy zamieszkiwałem kolonię już kilka lat i zrozumiałem, czym naprawdę jest. Trzecią — kilka dni temu, kiedy ponownie zaprosił mnie do ucieczki. Zaraz po twoim... spektaklu na dziedzińcu katedry z panienką Okabe. — Na chwilę urwał, po czym dodał ciszej:

— Podejrzewam, że nie dzieli nas duża różnica wieku, Protektaro Eurus, ale zazdroszczę ci jednego — że nie zawahałeś się ani chwili.

Patrzył w górę, jakby szukał tam odpowiedzi, których nie potrafił już znaleźć. Potem znów zwrócił się ku Zephyrowi:

— Być może już dawno byłbym w Urbo de Oriento, gdybym wtedy zaufał Neriusowi. Teraz, gdy go z nami nie ma, moje poczucie obowiązku wobec prawdziwego Unaro tylko wzrosło. Tak jak

szacunek dla niego, że nie poddał się mimo piętnastu lat zawieszenia w tym miejscu.

Złożył dłonie w erykanojskim geście pokory, cofając prawą nogę i pochylając głowę:

— Pozostaję do twojej dyspozycji, Protektaro Eurus.

— Doceniam to, Teknikaro Vektyr — odparł Zephyr. Spojrzał jeszcze na Aldonzę i dodał. — Liczę na waszą pomysłowość i innowacyjność.

Kiedy powoli ruszyli w stronę ogrodów, Yorin rzuciła do nich wesoło:

— Gdy zobaczycie Anari, przekazcie jej, że pogratulujemy sukcesu, gdy tylko wrócimy.

Aldonza wybuchnęła swoim charakterystycznym śmiechem, słysząc o ich „spacerze we dwoje”, i obiecała przekazać wiadomość w swoim stylu — czyli głośno i z uśmiechem.

Mijając róg pałacu, kroczyli powoli w stronę zalanych ogrodów. Część północna pałacu wydawała się najmniej podmyta przez wody jeziora, które od czasu do czasu prawdopodobnie wylewały. Jednak nawet tam ułożono prowizoryczne kładki w miejscach najbardziej rozmokłych, by nikt nie musiał brnąć przez błoto jak w noc ich przybycia.

Już mieli skręcać w stronę wyschniętego drzewa, gdy z ogrodu dobiegły ich podniesione głosy. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że to Dexion kłóci się z jednym z Farmistaroj. Obaj wymachiwali rękami nad przekopywanym kanałem irygacyjnym, jakby każdy z nich miał zupełnie inną wizję jego przebiegu. Mężczyzna dyskut-

jący z Maristaro Navarrosem był jednak znacznie spokojniejszy w swoich ruchach.

Któryś z Farmistaroj, zauważywszy Zephyra, od razu do niego podbiegł:

— Protektaro! Prosimy o pomoc w mediacji. Temu Maristaro cały czas się nie podoba, co tutaj robimy, i przychodzi nas poprawiać! Borun prosił, żeby nie przeszkadzać w waszych obowiązkach, ale skoro już tu jesteście...

Zephyr spojrział na Yorin, a ta skinęła głową, zachęcając, by pomogli załagodzić spór. Głos drugiego mężczyzny wydał mu się znajomy — odrobinę piskliwy, ale stanowczy, dokładnie taki, jaki zapamiętał u pomysłodawcy zamiany dawnych ogrodów w pola uprawne.

— Mówię ci, Dexionie, że woda nie popłynie, jeśli wykopiesz to pod takim kątem! — fuknął Borun, wskazując kijem na wąski przekop. — Spłynie w bok i zaleje tarasy!

— A jak ją puścimy niżej, to w ogóle nie dotrze do ryżu! Na morzu też nie czeka się, aż prąd sam wybierze drogę — trzeba mu nadać kurs! — odburknął marynarz, poprawiając koszulę i zerkać na wartki strumień.

— Tylko że to nie morze, a pole — odparł chłodno farmer. — Tutaj nie rządzi siła, tylko spadek i cierpliwość.

— Cierpliwość to mi się skończy, jak plony pójdą na dno! — wrzasnął wściekle Dexion, kopiąc ziemię stopą i rozbryzgując błoto.

Obaj odwrócili się w stronę Zephyra, Yorin i farmera, który ich tu sprowadził. Odrobinę dalej Haruin sadziła młode pędy, co

chwila zerkając na klótnię. Trzech Pretorój stało w dole z łopatami, niepewni, czy kontynuować, czy czekać na rozkaz.

— Dex! — Zephyr zawołał ostrzej niż zamierzał. — Czemu im się wtrącasz w pracę?! Nie miałeś im przypadkiem pomóc przy tych kanałach, a nie je zasypywać!

— Nie mam jak, skoro robią to źle! — warknął marynarz i ponownie kopnął w skraj rowu, obsypując świeżo przekopaną ziemię ku rozpaczycy kolegów.

— Ochłoń, ośle, i spróbuj zrozumieć czyjś punkt widzenia! — odciął się Zephyr z lodowatym wzrokiem.

Dexion wbił w niego spojrzenie pełne furii, jakiej Zephyr nie widział nawet podczas ich bójki w stajni na Rememoro. Splunął na bok i odszedł, mrucząc coś pod nosem.

Borun stał jeszcze chwilę nieruchomo, po czym westchnął, kucnął przy rowie i cicho dodał:

— Przynajmniej teraz woda pójdzie tam, gdzie powinna.

Patrzyli za odchodzącym Dexionem przez chwilę, aż wreszcie jeden z żołnierzy mruknął pod nosem do Zephyra:

— Jest wściekły o nominację Rajdistaro Ikariun na Kapitanero. Nikt nie oddał na niego głosu poza nim samym — stąd te humorki.

— Wyobraźcie sobie, jakby oddał źle i skończył z zerem. — Zaśmiał się drugi, otrzepując dłonie z błota.

Dexion zawsze miał w sobie potrzebę rozkazywania, choć nigdy nie chodziło mu o prawdziwe dowodzenie. Dla Zephyra był to zapewne wynik jego iberskiej natury. Powiadano, że ci ludzie częściej reagowali emocjami niż rozumem. Już na Rememoro potrafił wydawać mu polecenia, mimo że był tylko Młodszym Maristaro. To,

co działo się teraz w Gyo, tylko pogłębiało jego frustrację. W Shokyo czy Nikyo nie znosił żartów Aldonzy, gdy ta półżartem nazwała Zephyra ich „Protektaro”. Teraz jednak sytuacja nie była już żartem — naprawdę musiał słuchać jego rozkazów, gdy przez aklamację grupy został przywódcą.

Pierwszej nocy i o poranku próbował przejąć inicjatywę. *Skoro Zephyr nie chce, to czemu nie ja?* — Tak zapewne brzmiała jego myśl. Ale poza łatwowiernym Ryohantu nikt nie uległ jego energii ani samowznęcej tytulaturze.

Z Borunem Dexion miał zresztą na pieńku — ich głosy z ogrodów dało się słyszeć nawet dzień wcześniej. Jego przyjaciel miał dobre pomysły, ale równie twardą głowę. Jeśli coś nie zgadzało się z jego wizją, prędzej rozwalilby łopatę niż ustąpił.

— Dziękuję, Protektaro Eurusa — odparł Borun z lekkim ukłonem.

Farmistaro był raczej szczupły i niezbyt wysoki, o zgarbionej sylwetce człowieka, który więcej życia spędził pochylony nad ziemią niż stojąc wyprostowany. Skórę miał bladą, włosy ciemne, splecione w krótki kucyk — pozostałość po zwyczaju przodków z Jagirskiej. Jego szare oczy, chłodne i uważne, kontrastowały z piskliwym głosem, który brzmiał jednak pewnie, gdy mówił o uprawach i wodzie. W jego ruchach widać było precyzję i cierpliwość kogoś, kto rozumie puls samej ziemi. Patrząc na tempo prac i reakcje innych, Zephyr dostrzegł, że uchodzi za równie upartego co Dexion — lecz nie siłą i krzykiem, a mądrością i spokojem. Gdy mówił, ludzie milczeli.

— Borun? Zgadza się? — dopytał Zephyr.

Ten skinął głową.

— Borun Radzim, Farmistaro z piątego pokolenia w Nikyo.

— Nie miałem okazji podziękować za pomysł na uprawy.

— Tam. — Wskazał kijem w stronę Haruin, przyjmując podziękowania krótkim skinieniem głowy. — Zaczęliśmy sadzić zioła. Zarówno te kuchenne, jak shiso, zielony czosnek i miętę, jak i lecznicze: krwawnik, liście morwy i trochę rdestu ptasiego, który znaleźliśmy przy dawnych murach. Wysuszymy je i zrobimy zapasy.

Przesunął kij po ziemi i narysował w niej linię.

— Tutaj poprowadzimy kanały dla ryżu. Wyżej, tam, gdzie grunt twardszy, pójdą uprawy daikonu i długiej kapusty — potrzebują mniej wody, więc ziemia nie powinna się zapadać.

Zephyr poklepał Boruna po ramieniu z uznaniem, przeprosił za zachowanie Dexiona i życzył powodzenia w dalszych pracach.

Gdy oddalili się od ogrodów, Yorin odezwała się półgłosem, nie odrywając wzroku od błotnistych kładek:

— Nazwanie Dexiona „osłem” raczej nie pomoże ulżyć jego złości...

— Zawsze tak go nazywałem. Przejdzie mu. Jest impulsywny i tyle. Przetrawi porażkę z Anari i będzie lepiej — odburknął, nie kryjąc zmęczenia tematem.

Yorin pacnęła go dłonią w głowę.

— Za co to? — spytał z udawaną irytacją.

— Za brak empatii — odparła z cieniem uśmiechu. — Powinnieś z nim porozmawiać, zanim sam się wykluczy. Niech czuje, że też coś znaczy.

Zephyr westchnął ciężko.

— Jak mam chwalić jego zachowanie, skoro łązi po wszystkich i rozkazuje, co mu się podoba?

— Ty tu przewoźsz — zauważyła spokojnie — ale nawet dowódca potrzebuje kogoś, kto potrafi głośno tupnąć. Znajdź mu miejsce, w którym się wykaże i jednocześnie da trochę spełnienia.

— Sam już to zrobił na pierwszej naradzie — mruknął Zephyr. — Ale wygląda na to, że nawet jego własny pomysł z łowieniem ryb mu się nie podoba.

Yorin nie odpowiedziała, najwyraźniej zamyślona. Szli więc w ciszy, aż dotarli na plac za ogrodzeniem pałacu.

Ziemia była tu suchsza i twardsza, praktycznie nienaruszona przez wodę jeziora, która zalewała resztę miasta. Martwe drzewo, stojące pośrodku, wyglądało niczym strażnik zapomnianego świata — jego białe, rozłożyste gałęzie nadawały mu zarazem majestatu i upiornej martwoty. Nie widać było żadnych śladów życia: ani ptaków, ani owadów, nawet wiatr zdawał się omijać je szerokim łukiem. Dziupła pośrodku pnia przypominała czarną ranę.

— Co o tym myślisz? — spytała wreszcie Yorin, gdy stanęli przy nim.

— Zwykłe, choć trochę upiorne, stare i wyschnięte drzewo — odpowiedział, przyglądając mu się z dystansu.

— Zdziwiał tylko fakt, że rośnie dokładnie na środku placu i że wokół niego nie ma nawet źdźbła trawy.

Przesunął wzrokiem po ziemi, na której rosły tylko pomarańczowo-słomiane kępki suchego ziela oddalone od samego drzewa.

— Przypomina mi drzewo z Ogrodów Shinrina, przy którym znalazłam Płaczącego — powiedziała cicho. Podeszła bliżej i ostrożnie dotknęła kory.

Zephyr obserwował ją, gdy stawiała kolejne kroki wokół drzewa, delikatnie przesuwając palcami po jego pniu. Czuł, że nie chodziło jej tylko o tego tajemniczego osobnika. W końcu oboje wiedzieli, że ta rozmowa musiała kiedyś nadejść — obiecali sobie to wszystko wyjaśnić jeszcze w Nikyo, w piwnicy twierdzy na wyspie.

Zebrał się w sobie, żeby wreszcie poruszyć temat tamtego pocałunku z Isandrą, ale nagły trzask przerwał ciszę. Dźwięk dobył się z jednej z ulic prowadzących ku dawnym murom miejskim.

Odruchowo oboje zwrócili się w tamtą stronę.

— Też to słyszałaś? — spytał półgłosem, nie odrywając wzroku od ciemnej zabudowy.

— Tak. Jestem pewna, że ktoś się tam chowa — wyszeptała Yorin, cofając rękę od kory drzewa.

Trwali w bezruchu, nasłuchując. Powietrze zdawało się gęstnieć od napięcia.

W końcu zza jednej z bocznych uliczek coś się poruszyło — cień, zbyt nienaturalny jak na zwierzę, wychylił się na moment z półmroku.

VI

Para zamarła, gdy zza rogu uliczki wychyliła się postać w długim płaszczu. Wyższa od Zephyra, bez wyraźnych rysów — jakby światło dnia nie chciało jej dotknąć. Gdy dostrzegli siebie, sylwetka zniknęła za ścianą.

Yorin i Zephyr wymienili krótkie spojrzenie. Ruszyli natychmiast.

Źródło było zbyt blisko, by mogli swobodnie użyć zdolności swoich pamięci, więc musieli polegać na sile nóg. Zephyr dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie ma broni. Po drodze chwycił pierwszą rzecz, jaka mogła się do tego nadać — drewnianą pałkę, zapewne kij do podpierania.

Wpadli w wąską uliczkę. Po chwili zrozumieli, że cień już zniknął. Z oddali dobiegły ich jednak ciężkie, nierówne kroki. Biegli dalej, ramię w ramię, aż zakręt odsłonił im prostopadłą alejkę do głównej arterii. Tam, pomiędzy murami, szedł ich uciekinier, chwając się i potykając. Odbijał się od ścian, jakby nie znał własnego ciała.

Zephyr zmrużył oczy, zdumiony łatwością pościgu. Yorin wydała z siebie krótki, rozbawiony oddech — pierwszy dźwięk lżejszy od napięcia.

Zrobiła krok naprzód, przekrzywiła głowę i rzuciła z uśmiechem:

— To co, kontynuujemy naszą pogoń?

Ruszyła, nie czekając na odpowiedź, jakby to był zwykły spacer, nie szarża za widmem.

Zephyr odruchowo chciał ją powstrzymać, ale ta wymknęła mu się z zasięgu dłoni. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby to on był ścigającym — a ona uciekającą. Zakapturzona postać poruszała się dalej, chwiejnie, z wysiłkiem, jakby każdy krok był błędem.

— Zatrzymaj się! — zawołał Zephyr. — Nie ma sensu uciekać — zawahał się — chyba.

Yorin uniosła dłoń, gestem nakazując mu ciszę, i miękko gwizdnęła. Cień w kapturze zdawał się to też usłyszeć i przystanął. Przez moment tylko ich wspólne oddechy odbijały się od zabudowań w uliczce. Uciekinier, trzymając się ściany jedną ręką, powoli odwrócił głowę i zerknął na nich, nadal ukrywając swoje lico pod długim kapturem.

Zephyr zmrużył oczy. Szata zakrywała niemal wszystko — matowy materiał wyglądał, jakby przetarto go piachem, by nadać mu ten efekt. Spojrzał w dół i wtedy poczuł, jak dreszcz przeszedł po jego ciele. Na ziemi nie było żadnego regularnego śladu stóp. Tylko drobne, okrągłe wgłębienia, jakby ktoś wbijał w ziemię grubą łaskę.

Yorin stała naprzeciw istoty, pochylona lekko do przodu. Z jej ust ponownie wydobywał się cichy ton — coś pomiędzy sykiem a gwizdem, rytmiczny, na pewno nieludzki. Bliższy szumowi wiatru niż mowy.

Zakapturzona postać trwała w bezruchu, lecz na jej pogwizdywanie pochylili głowę. Spod kaptura kapnęło coś drobnego, połyskującego w blasku słońca. Światło odbiło się w bursztynowym kształcie, który Zephyr natychmiast rozpoznał... choć nie mógł uwierzyć w to, co widział.

Zrobił krok, ale Yorin uniosła rękę, dając znak, by został na miejscu.

Wyszeptała w ucho:

— Chyba wiem, *kim* to jest. Poczekaj, by go nie spłoszyć.

— To na pewno jest... — zaczął i natychmiast urwał, widząc, jak Yorin rusza w stronę postaci.

Powietrze przeciął znów ten dziwny dźwięk — jak świst wiatru w pustej wieży. Kobieta podeszła blisko, wyciągnęła dłoń i dotknęła rękaw.

Istota nie uciekła. Odpowiedziała własnym tonem — krótszym, szorstkim, zakończonym smutnym szelestem.

Wreszcie ruszyła. Krokiem powolnym, jakby przywrócona do porządku, kroczyła w stronę, gdzie wcześniej próbowała uciec. Yorin obejrzała się przez ramię, uśmiechnęła i ruchem dłoni zaprosiła Zephyra, by poszedł za nią.

Zrównali się i szli powoli za zakapturzoną postacią. Zephyr nie wytrzymał i wyszeptał:

— Powiesz mi wreszcie, czy dobrze myślę. To musi być...

— Tak. To jest to.

Nie dowierzał. Nie rozumiał, jak to możliwe, że trafili na *to* akurat tutaj. Milczał i kroczył obok Yorin, starając się nie patrzeć wprost na ich przewodnika.

Choć od pałacu nie było daleko, przeszli przez mur miejski i wąskie przedmieścia. Dotarli do budynku przypominającego opuszczoną świątynię o wysokim sklepieniu i szerokim wejściu.

Wrota dawno już runęły — oplatały je pnącza, dach z kolei był częściowo zapadnięty.

W środku panował chłód. Czuć było zapach ziemi i wilgoci. Między kolumnami stały posągi dawnych bogów z Gyo, a wokół nich porozrzucane „skarby” minionej epoki: brązowe misy, popękane gongi, kamienne tablice z wyrytymi symbolami, maski, które straciły rysy.

W centrum sali nie było już podłogi — wyglądało na to, że ktoś ją wyrwał. Ziemia pod spodem była spulchniona i pełna wąskich otworów.

Światło wpadające przez dziury w dachu przecinało wnętrze ostrymi smugami, które zmieniały się wraz z ruchem obu słońc.

Postać wreszcie zatrzymała się. Chwyciła krawędź swojej szaty i powoli ją zsunęła. Zephyr zamarł.

Domysły się potwierdziły — stał przed nimi żywy *kaiboku*. Nie przypominał jednak tych, które widział na wysepkach Zaihonu, gdy wyławiali rozbitków z wody. Ten był inny — bardziej człowieczy kształtem, a zarazem obcy. Przywodził mu na myśl figurkę mistrzyni Vesnary Ljubarew. Tę, którą Zephyr widział w jej kolekcji w Nikyo... albo zdeformowaną postać Płaczącego, którą widział w jego wymiarze. Yorin wstrzymała oddech.

Był wysoki na ponad dwa metryki, o spiczastych, zbyt długich nogach, które tłumaczyły jego nienaturalny chód i te charakterystyczne ślady w ziemi. Cały tułów tworzyła sieć splątanych korzeni i grubych konarów, o barwie typowej dla młodego drzewa; miejscami wyrastały z nich młode pędy, jakby ciało wciąż rosło. Ręce

miał równie wydłużone, zakończone czterema palcami — każdy z nich poruszał się niezależnie.

Najbardziej niezwykła była głowa: zawinięte konary tworzyły coś na kształt dziupli, w której migotały dwa pomarańczowe węgielki, niczym małe ogniska — oczy istoty.

Kaiboku zbliżył się powoli do jednego z rozbitych mebli. Chwycił komodę i ustawił ją na płasko przed nimi z ostrożnością, jakiej nie spodziewaliby się po stworzeniu z drewna. Wskazał dłonią na tylną część mebla — wyglądało na to, że zapraszał ich, aby usiedli.

Zephyr dotknął blatu; drewno zaprzeczało swojemu stanowi — było spróchniałe, ale wciąż trzymało się w całości. Skinął do Yorin, że mogą bezpiecznie usiąść.

Ona odpowiedziała krótkim tonem — cichym gwizdem, który wrócił echem od ścian.

Drzewiasty przechylił głowę. Konary oplatające jego „twarz” zadrżały, jakby na ten dźwięk zareagowały radością.

— Ty z nim rozmawiasz? — zapytał Zephyr, nie odrywając wzroku od istoty.

— Wydaje mi się, że to wpływ Płaczącego — odpowiedziała. — Coś podobnego do twojego połączenia z czcigodnym Munjo, dzięki któremu korzystasz z jego zdolności językowych. Płaczący był w końcu dzieckiem kaiboku. Nie zdążył się wiele nauczyć... ale czuję, jak jego pamięć próbuje mi pomóc w komunikacji. Gdy tylko się zbliżyliśmy, wiedziałam, że on mnie zrozumie i zapewne dlatego zapłakał.

Kaiboku powoli ruszył w stronę rozkopanej ziemi. Gdy stanął w samym środku, Yorin i Zephyr zobaczyli coś, co przypominało przemianę — drewno zaczęło się wyginać, mięknąć, jakby było żywe. Ciało istoty rosło jednocześnie w dół i w górę, rozciągając się niczym pęk, który właśnie się otwiera.

Z miejsca, gdzie wcześniej była głowa, wyrastała korona drzewa — rozłożysta, pełna młodych liści. Dziupła, która przed chwilą stanowiła jego twarz, przesunęła się wyżej, tuż pod koronę.

Po pomieszczeniu rozszedł się szelest i cichy, świszczący dźwięk. Yorin przymknęła oczy, wsłuchiwała się i po chwili szepnęła do Zephyra:

— Prosi, żebyśmy mu dali czas. Jeśli dobrze rozumiem, chce się posilić.

Zephyr przez moment nie był pewien, czy dobrze to pojmował. *W końcu był drzewem* — pomyślał, patrząc, jak korzenie zanurzają się w miękkiej ziemi.

Gdy istota w pełni się rozwinęła, węgielkowe oczy zgasły. Zapadła cisza, przerywana tylko cichym ćwierkaniem ptaków, które zaczęły siadać na szczątkach dachu.

Zephyr odwrócił wzrok od drzewa.

— Yorin... skoro czekamy... — zaczął, wracając myślami do tematu sprzed ich pościgu.

— Wydaje mi się, że już wszystko rozumiem — odparła spokojnie, wciąż patrząc na nieruchomego kaiboku.

— Gdy ta dziewczyna z czerwonymi włosami cię pocałowała... a ja chwilę wcześniej usłyszałam, że jest twoją przyjaciółką... Chciałam tylko zniknąć. Nie dowierzałam, że w tak krótkim czasie

znów dałam się oszukać... Nie mogłam na was patrzeć, więc ucie-
kłam.

Spojrzała w górę. Na zawalonym dachu przysiadły dwa ptaki —
poruszały się niespokojnie, jakby też nie mogły znaleźć wspólnego
miejsca.

— Dziękuję ci, że nie próbowałeś porozmawiać ze mną na siłę
po tym, jak Aldonza cię zatrzymała. Potrzebowałam tamtej chwili,
żeby wszystko w sobie poukładać. Ale gdy podczas kolejnej rotacji
cię wynosili, ciągnąc jak więźnia, wszystkie myśli o zwątpieniu
zniknęły. Bałam się o ciebie. Nie wiedziałam, co robić. Jak ci po-
móc...

Zawahała się.

— Wstąpiłam do waszej Wspólnoty, żeby być bliżej... ciebie —
dodała ciszej — ciebie i reszty.

Zephyr słuchał w milczeniu. Na dachu jeden z ptaków pode-
rwał się do lotu i zawrócił, aby przysiąść w innym miejscu.

Yorin wzięła oddech.

— Anari powiedziała mi, jak wyglądałeś, gdy na nią trafiłeś po
ucieczce z katedry. — Jej głos zadrżał. — Fatalnie. Półżywy.

— Gdyby nie Velesław i Nerius, już by mnie nie było — wy-
szeptał Zephyr.

— Po twojej ucieczce Anari próbowała pogodzić dwie kobiety,
które nawet nie wiedziały, że walczą o tego samego mężczyznę i
obie się o niego zamartwiały. Wszyscy ją wtedy obciążyliśmy swo-
imi sprawami — powiedziała Yorin, patrząc znów na kaiboku. —
Opowiedziała mi, przez co tamta przeszła w czasie tych wszyst-

kich rotacji i jak było jej ciężko... Współczuję jej, ale... nie potrafię zapomnieć tego, co zrobiła.

Zephyr próbował rozładować napięcie:

— Miałem podobnie, gdy dostałem z otwartej ręki w twa—

Przerwała mu ostrym i rażącym spojrzeniem. Zaciśnięła usta. *Za długi język*. Tylko taka myśl zdołała przejść mu przez głowę.

— Znalazłam przycisk do zwoju czcigodnego Munjo na dziedzińcu. A później Neriusa w bibliotece. Tam, gdzie mówiłeś, że często przesiadywał. Porozmawialiśmy chwilę o tym, co zaszło... I o tobie. Oddałam mu sorei, żeby ci je zwrócił, gdy tylko dowie się, że jesteś bezpieczny. A potem — dostał w policzek. Za swoje sercowe porady...

— Dostał w policzek?! — Zephyr powtórzył po niej i uniośł brwi, już domyślając się, co jej powiedział.

— Nie polubiliśmy się — odparła z lekkim współczującym uśmiechem. — Jeśli czegoś żałuję po jego odejściu, to tego, że nie zdążyliśmy się przeprosić. Mimo że utraciłam przywiązanie do nauk Trzech — i nie da się do nich modlić — poprosiłam Shinrina, żeby przekazał mu, że wybaczam. I dziękuję za to, że nas uratował. Bo w końcu on jest jednym z naturą, także w momencie, gdy tchnienie życia wygasa.

Dwa ptaki, które wcześniej siedziały obok siebie, poderwały się do lotu. Jeden skręcił w lewo, drugi w prawo. Przez chwilę w powietrzu unosił się zrzuty przez nie pył — drobinki połyskiwały w świetle obu słońc.

— I teraz jesteś tu — powiedziała cicho. — W niepewności wspólnego jutra.

Zephyr milczał i zrobił ruch, jakby chciał ją chwycić za rękę, ale ona ją cofnęła.

Yorin ścisnęła dłonie, splatając je na kolanach.

— Nie mogę zapomnieć, Zephyrze. Nie potrafię.

— Wiesz, że Isandra i ja nie —

— Nie wiem! — Jej głos podniósł się, lecz zaraz zgasł. — Niezależnie od tego, co powiecie — ty czy inni — nie wiem...

Na policzku spłynęła pierwsza łza.

— Daj mi jeszcze odrobinę czasu — poprosiła stłumionym głosem.

Zapadła cisza.

Patrzyli na nieruchome drzewo — korona stała w bezruchu, tylko liście zdawały się oddychać na wietrze.

Zephyr już chciał ją objąć, gdy kaiboku drgnął. Ruch jego ciała był odwrotnością wcześniejszej przemiany — drewno kurczyło się i twardniało, korzenie odklejały się od ziemi, a kształt człowieczy powracał.

Gdy węgielkowe oczka zapłonęły ponownie, końcówki konarów tworzących jego twarz poruszyły się powoli, wydając znajomy, przeciągły dźwięk.

Yorin odpowiedziała mu swoim świszczącym tonem, po czym odwróciła się do Zephyra.

Kaiboku ruszył powolnym krokiem w stronę swojej „góry skarbów”.

— Co tym razem? — zapytał Zephyr półgłosem.

— Przeprosił i powiedział, że zaraz nas czymś poczęstuje.

Zephyr uniósł brew.

— Brzmi, jakbyśmy byli u kogoś na podwieczorku, a nie w legowisku mitycznej istoty.

Kaiboku sięgnął po starą beczkę. Z najwyższą ostrożnością podniósł ją, przeszedł kilka kroków i postawił przed nimi. W środku była woda — mętna, z liśćmi na powierzchni.

— Nie możemy... — zaczął Zephyr.

— Udawajmy, żeby go nie urazić — przerwała mu łagodnie Yorin.

Zerknęli na siebie, po czym jednocześnie złożyli dłonie w koszyk i nabierali wody, tak aby powoli pozwolić jej spłynąć między palcami. Nie mogli ryzykować — ale gest musiał wyglądać jak wdzięczność.

Kaiboku, widząc, że piją, poruszył się z radością. Z jego wnętrza wydobył się dźwięk przypominający śpiew w skalnej dolinie — głęboki i przeciągły.

— Spytaj go, co on tutaj robi — zaproponował w końcu Zephyr.

Yorin skinęła głową i powtórzyła pytanie w swoim świszczącym tonie.

Węgielki w jego dziupli zaiskrzyły, a dźwięk, który rozbrzmiał w odpowiedzi, stał się niższy i pełen żalu niczym wizg.

Słuchała, pochylona lekko do przodu, po czym zaczęła tłumaczyć:

— „To drzewo na placu... to jego opiekun. To śpiący z jego domu. Przychodzi tam, żeby z nim być. Nie widział ludzi ani swoich bliskich od wielu obrotów. Nie pamięta ilu. Cieszy się, że ktoś go rozumie”.

Zephyr skinął powoli.

— Zapewne nikt z nim nie rozmawiał w swoim języku od dziesięć lat — powiedział półgłosem.

Kaiboku znów poruszył włóknami dziupli. Yorin przetłumaczyła kolejne słowa, z trudem dobierając wyrazy:

— „Mieszka tu. Zbiera rzeczy. Słucha zwierząt. Dawniej się ukrywał przed ludźmi, których już tu nie ma. Płacze, gdy jego bliscy cierpią”.

— Co to znaczy? — zapytał Zephyr.

Powtórzyła pytanie.

Kaiboku odpowiedział dźwiękiem drgającym jak wiatr w pniu.

— „Gdy głośno i drży, inni płaczą” — przekazała Yorin.

Zephyr zamyslił się nad sensem tych słów. Wreszcie zrozumiał.

— *Itsas-zaindari* — wymówił powoli nazwę przerażających dział otaczających wybrzeża Zaihonu i celujących w stolicę tego lądu. W jego ustach słowo zabrzmiało jak syk.

Kaiboku znieruchomiał, po czym uniósł ramię i wskazał na Yorin.

— „Ty też cierpisz...” — tłumaczyła, po czym urwała. — Ma na myśli Płaczącego.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła sorei. Żołędź w kamieniu zadrżał w jej dłoni, jakby odpowiadał na obecność istoty. Kaiboku pochylił się, by spojrzeć. Z jego dziupli wypłynęły krople żywicy — ciężkie, połyskujące jak bursztyn. Takie same jak w alejce, gdy Yorin do niego przemówiła.

Wydał z siebie dźwięk gwizdu — dłuższy niż wszystkie dotąd. Rozlał się po świątyni jak echo dawnego płaczu.

Yorin spojrzała gwałtownie na Zephyra.

— On wie o wymiarze — powiedziała cicho. — Chce do niego wejść.

Zephyr skinął głową. Zamknął oczy. Yorin zrobiła to samo.

Powietrze wokół nich zadrżało. Zapach żywicy i palonego drewna przeniknął im do płuc, a gdy otworzyli oczy, ruiny stały w ogniu, który nie parzył.

Płomienie ślizgały się po belkach. Kaiboku stał w centrum pożaru, spokojny, jakby wiedział, że to tylko obraz, nie rzeczywistość.

Przed nim wyrastał Płaczący — w formie pośredniej między człowiekiem a drzewem, jakby jego ciało wciąż szukało kształtu.

Kaiboku ruszył ku niemu. Każdy jego krok wydawał się wysiłkiem. Gdy się zbliżył, uniósł dłoń — długą, rozgałęzioną, o czterech palcach — i zatrzymał ją tuż przed zdeformowaną dziuplą Płaczącego.

Nie dotknął go. Jakby nie mógł. Stał tak, łkając. Żywica spływała po jego konarach jak łzy.

Para patrzyła w ciszy, widząc cierpienie istoty i pamięci, które siebie nawzajem rozpoznawały.

Kaiboku przemówił — dźwiękiem głębokim, przesiąkniętym smutkiem. Yorin drgnęła i zaczęła tłumaczyć.

— „Cierpienia młodego...” — zaczęła Yorin, po czym urwała, próbując nadążyć za dźwiękami. Byt mówił dalej, więc podjęła na nowo, niepewnie:

— „...Kaiboku... nakarmiony żywym ogniem i kością”.

Jej głos lekko zadrżał. — Nie jestem pewna czy to dobre słowo — dodała po cichu, ale kontynuowała próbując płynniej interpretować:

— „Cierpi, bo nie mógł rosnąć i nie może umrzeć. Trwa, dopóki jego ogień nie zostanie ugaszony. Mnie też to czekało, lecz mój opiekun mnie ocalił — zabrał z jaskini, w której nas umieszczono. Uchronił jako ostatniego z klanu. Przed tym, którego teraz zwą Olorikaze”.

Na to imię Zephyr się wzdrygnął. Słyszał je kiedyś — na pewno w Nikyo — ale nie potrafił skojarzyć gdzie. Prychnął pod nosem, cedząc jedno z przekleństw zanikającej *volontaire*, i podrapał się w tył głowy.

Yorin spojrzała na niego, jakby chciała go uciszyć i zrozumieć, po czym podjęła dalsze tłumaczenie:

— „Trzyma z ludźmi w sposób niedobry — nie taki, jak my, kai-boki, z nimi żyliśmy. Ci, którzy lubią mrok i kość, nastraszyli go opowieściami o losach świata. Olorikaze stał się bogiem wraz z dwoma, co byli przy nim, gdy tworzyli to, co nas otacza. My wciąż dbamy o ziemię, lecz już nie tak jak dawniej. Technieniem, które ją podtrzymuje, ale nie rozwija. Które ocenia zamiast uczyć. Które włada zamiast prowadzić jej życiem”.

Yorin mówiła coraz ciszej, przejęta:

— „Nie pamiętałem wszystkiego, bo nie istniałem” — dodała, wciąż tłumacząc słowa istoty. — „Ale mój opiekun powiedział mi to przed oddaniem się wiecznemu snu. Nie wszyscy się godzili z Olorikaze. On nie chciał. Uciekł z Miasta Kaskad dawno temu.

Trafił tutaj, przyciągnięty śpiewem ludzkiej tragedii... bo wiedział, że nikt go nie będzie szukać w takim miejscu”.

Świsty kaiboku ucichły, a jego ręka powoli opadła. Yorin zebrała oddech, uniosła dłoń i uwolniła ich z wymiaru Płaczącego.

Powietrze zgęstniało, światło przygasło — i po chwili znów byli w świątyni. Cisza narastała. Ich myśli wciąż szukały sensu w słowach, które usłyszeli.

Kaiboku przesunął się ku jednej z dziur w ścianie. Obok niej poruszyła się drobna wiewiórka. Drzewiasty pochylił się, podniósł z ziemi żołędź i niezdarnie podał go jej swą dłonią z gałęzi. Zwierzátko pisnęło, porwało dar i zniknęło w pnączach. Wydawał się bardzo uprzejmy, ale przy tym niezdarny i naiwny.

— Ten Olorikaze... — odezwał się wreszcie Zephyr. — Już wcześniej słyszałem to imię.

— Widziałam, że cię trafiło, gdy je wymówiłam — odparła cicho Yorin.

Zephyr zmrużył oczy, jakby próbował wydobyć z pamięci coś dawno zasypanego.

— Jeśli dobrze łączę fakty, które posiadamy, z tymi z tej opowieści... ten Olorikaze może być jednym z kaiboki. Może nawet samym Shinrinem, skoro nazwał go bogiem. To by tłumaczyło, czemu kapłani tak pilnie strzegli jego wizerunku.

Yorin spuściła wzrok.

— Może nie powinnam była prosić Shinrina o modły za Neriusa — szepnęła zawstydzona. — Tak czy inaczej wygląda na to, że wszystkie kaiboki są jego odbiciami. Albo... że Shinrin był pierw-

szym z nich. Może nawet tym, którego widziałam w wizji Płaczącego.

Zephyr skinął powoli.

— Zapytaj go, jeśli możesz — jak długo żyje. Niezależnie od tego, ile form przybierał.

Yorin świsnęła krótko.

Kaiboku zatrzymał się, odwrócił powoli i spojrzał na nich swoimi węgielkami. Z jego wnętrza popłynął długi, miękki gwizd.

— Powiedział, że... jak to liczymy po ludzku, żyje już sto pięćdziesiąt jeden pełnych rotacji — przekazała Yorin.

Zephyr uniósł brew.

— I uważa się za młodego?

— Najwyraźniej tak — odparła z lekkim uśmiechem, jakby sama nie wierzyła w odpowiedź.

Zephyr zamyslił się, wpatrzony w pień istoty.

— Czyli ten jego opiekun — martwe drzewo na placu — mógł być świadkiem wydarzeń, które widziałś w wizji. Tych samych, o których on nam opowiedział.

Zrobił krótką pauzę.

— Jestem prawie pewien, że ci dwaj pozostali, których nazwał bogami, to Myorinzuo Aorin i ten rycerz w zbroi.

Zawiesili wzrok na kaiboku. Drzewiasty powoli przesuwiał się po świątyni, dotykając gałęziami starych posągów i kamieni, jakby badał ich fakturę.

— Potwierdził też to, co mówił Severian — dodał po chwili Zephyr. — Płaczący jest złożony z trzech artefaktów połączonych w jeden. Ogień, o którym wspominał, to prawdopodobnie lawa, te-

raz zastygła w skałę. Kość rozłożyła się, ale jej wspomnienia zostały zatopione w tej bryle.

— A rycerz — urwał, jakby bał się dokończyć — on był tym, który uwięził te pamięci.

Yorin westchnęła.

— I wszystko wraca do tego samego miejsca — szepnęła pełna żalu.

Zephyr spojrział na nią z napięciem w głosie i powiedział:

— Pozostało ostatnie pytanie. Czym jest Miasto Kaskad?

— To nie takie trudne — odparła cicho Yorin. — Domniemany Shinrin Olorikaze musi mieszkać w Sankyo.

— Jesteś tego pewna?

— Trzecia Stolica leży na półkach skalnych, pełnych wodospadów i wiszących ogrodów. Dlatego mówiłam ci, że Ogrody Shinrina w Shokyo trochę mi ją przypominają — przez te strumyki i roślinność. Całość wygląda jak kaskada, bo miasto jest osadzone na skalnych półkach. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby pod nim, w sercu góry, istniała sieć tuneli i jaskiń, którymi on i jego opiekun uciekli.

— Właśnie to chciałem zasugerować — potwierdził Zephyr z ledwie widocznym uśmiechem.

Słońca chyliły się ku zachodowi. Ich światło rozlewało się po ruinach, barwiąc korzenie kaiboku złotem i czerwienią. Para zrozumiała, że pora wracać.

Gdy wstali, drzewiasty odwrócił się ku nim, a jego węgielkowe oczy błysnęły ciepłym światłem. Ukłonili się nisko. Yorin świsnęła po raz ostatni — tonem wdzięczności za gościnę.

Kaiboku odpowiedział krótkim gwizdem. Dźwięk zawisł w powietrzu jak pożegnanie między istotami, które dawno przestały się rozumieć, ale wciąż próbowały.

Już mieli wychodzić, gdy drzewiasty przemówił ponownie. Kiedy skończył, Yorin aż zakryła usta z wrażenia. Na jej twarzy nie było zdziwienia, lecz raczej zadowolenie z domieszką ekscytacji.

— Co powiedział? — spytał Zephyr, nie kryjąc zaskoczenia jej reakcją.

— Spytał... czy może pójść z nami! — powiedziała podekscytowana. W jej oczach błyszczały iskry zachwytu.

Zephyr spojrział na nią, jakby nie dowierzał własnym uszom. Mityczny byt chciał dołączyć do ich wyprawy.

— Spytaj go, co powinniśmy przygotować — pociągnął, odyskując rezon.

Yorin przetłumaczyła jego słowa. Kaiboku zrobił kilka kroków do przodu i wyciągnął w stronę Zephyra dłoń. Na końcu jednego z palców rozwinęła się drobna gałązka z zielonymi listkami.

Wydał z siebie miękki świst, potem krótki gwizd.

Yorin zaśmiała się szczerze.

— Co tym razem? — spytał Zephyr, pół żartem, lekko zniecierpliwiony.

— *Kh'rriuuuh...* — powtórzyła, próbując oddać dźwięk. — Powiedział, że z radością dołączy do naszej wyprawy i nic mu nie trzeba.

— *Khrriuh?* — spróbował powtórzyć.

Yorin zachichotała.

— Zgodził się, byś mówił *Kriu* — będzie ci łatwiej.

Kaiboku, jakby rozumiejąc jej słowa, zadrżał końcami dziupli. Węgielki w jego oczach zwężyły się, a konary poruszyły się jak w cichym śmiechu.

— W takim razie witamy cię, Kriu, w naszym obozie — powiedział Zephyr z szerokim uśmiechem.

Drzewiasty pochylił głowę, a przez świątynię ponёśł się dźwięk przypominający oddech wiatru między koronami.

VII

Zdziwienie na placu przed pałacem było ogromne.

Wszyscy zamarli, gdy Yorin i Zephyr weszli na niego z Kriu, okrytym płaszczem i kapturem, które wciąż wołał nosić poza leżem.

Na zachętę i jako pierwszy krok w budowaniu jego śmiałości Yorin poprosiła, by zdjął kaptur. Zawahał się, ale w końcu posłuchał. Pod słońcami jego drzewiasta twarz błysnęła żywicznym światłem, a wśród tłumu rozległ się pomruk zdumienia.

Wyjaśnienia trwały długo, a reakcje były różne. Unaristoj, którzy nie pochodzili z Zaihonu albo nie byli związani z Trzema, patrzyli z fascynacją — jak na żywy relikwiarz sprzed wieków. Cywile, bardziej przywiązani do tej filozofii, widzieli w nim uosobienie Shinrina. Nie modlili się, ale kłaniali się nisko, z szacunkiem na granicy czci.

Trójka dzieci biegała wesoło wokół Kriu, piszcząc i śmiejąc się, a on nie potrafił nadążyć za ich ruchem. Z jego wnętrza dobywały się wesołe gwizdy — brzmiące jak śmiech na wietrze.

Zephyr obserwował to z rosnącym zdumieniem. Wtedy podeszła do nich Anari, nie odrywając wzroku od istoty.

— Niesłychane... — powiedziała nowo mianowana Kapitanero Ikariun. — Tak wyglądały te, które nas uratowały?

— Nie całkiem — odparł Zephyr. — Potrafi zmieniać kształt. Ta forma jest chyba najwygodniejsza, kiedy musi się przemieszczać na dłuższy dystans.

Kriu stał spokojnie obok, jakby czekał, aż rozmowa się skończy. Dzieci przestały biegać, zafascynowane tym, jak liście poruszają się na wietrze przeciwnie do ruchu jego ciała.

Yorin chwyciła Anari za rękę z wyraźnym uśmiechem.

— Aldonza pewnie już ci przekazała naszą wiadomość. Gratulacje, Kapitanie!

— Dzięki!... — odpowiedziała cicho Anari. W jej głosie nie było radości, tylko zmęczenie.

Zephyr dołączył do życzeń, ale od razu wiedział po jej minie, podobnie jak Yorin, że coś jest nie tak.

— Dex nie przyjął tego najlepiej?

— Nie. — Potrząsnęła głową. — Wczoraj Maristaroj zbudowali tratwę. W ciągu dnia znaleźliśmy w dobudówkach przy jeziorze sieci rybackie. Wypłynął dzisiaj już drugi raz. Teraz siedzi na tratwie od czwartej godziny Umbreny. Uparł się, że musi wypłynąć, żeby z nich skorzystać i „ulożyć myśli”.

— I tyle? — Zephyr zmrużył oczy. — Powiedział coś więcej?

— Ponoć usłyszał szept z jednego z pozostałych artefaktów...

Zephyr drgnął.

— Którego?!

— W łańcuszku Neriusa. — Anari spojrzała mu w oczy. — Nahuili była z nim przy wysłuchaniu szepcót. Lepiej, żebyś to od niej usłyszał.

Przez chwilę na placu zapanowała cisza. Nawet Kriu przestał wydawać swoje gwizdy.

— Dzięki, Anari — powiedział w końcu Zephyr. — Mam jeszcze jedną prośbę. W leżu naszego nowego towarzysza znajduje się

sporo przedmiotów, które mogą nam się przydać. Udajcie się tam z Yorin i z Kriu, jeśli trzeba, i zorganizujcie transport.

Kapitanero Ikariun zasalutowała krótko.

— Jasne. — Odwróciła się i odeszła w stronę schodów.

Kiedy zniknęła z pola widzenia, Yorin spojrzała na Zephyra z pogodnym uśmiechem:

— Może oprowadzę Kriu po terenie pałacu, żeby znalazł sobie nowe leże? — zaproponowała Yorin. — W dawnej oranżerii przy ogrodach wciąż stoi część dachu i stara studnia. Myślę, że to mu się spodoba.

— Dobry pomysł. — Zephyr skinął głową. — Ja spróbuję poszukać Severiana. W świątyni dotarło do mnie, że od przybycia do Gyo ani razu go nie widziałem.

Yorin przyłożyła palec do ust, jakby przeszukiwała własną pamięć.

— Faktycznie, nie pojawił się nigdzie — przyznała po chwili.

Na schodach zaczęli gromadzić się kolejni ludzie. W tłumie Zephyr dostrzegł Nahuili, niewzruszoną obecnością kaiboku, oraz Isandrę, której twarz rozjaśniła się na jego widok.

Yorin też ją zauważyła. Ich spojrzenia przecięły się i zdawały się nawzajem mierzyć. Kobieta obok Zephyra westchnęła demonstracyjnie, jak nie ona, po czym odwróciła się teatralnym ruchem i ruszyła w stronę Kriu, jakby niczego nie zauważyła. Warkocz przeciął powietrze z wyzywającym gestem, a jej sylwetka zasłoniła na krótko Zephyra, gdy go mijała, a później część drzewiastego, gdy stanęła naprzeciw niego i schodów.

Kriu, nie rozumiejąc napięcia, nachylił się w jej stronę. Yorin świsnęła krótko, miękko — tonem, który tylko on mógł zrozumieć — i razem ruszyli powoli w kierunku ogrodów.

Zephyr patrzył za nimi, zdezorientowany, nie do końca pojmując, co właśnie zaszło. Wtedy jego wzrok padł na Isandrę.

Stała nieruchomo, z dłońmi splecionymi przed sobą i z już mniej zadowoloną miną, śledząc Yorin wzrokiem, aż ta zniknęła za rogiem pałacu. Dopiero potem odwróciła się ku Zephyrowi. Pomachała mu krótko z wymuszonym uśmiechem.

On odwzajemnił gest, unosząc brwi. Zanim zdążył coś powiedzieć, Nahuili ruszyła ku niemu. Jej krok był pewny, twarz skupiona, a perłowe czarne oczy lśniły w blasku zachodzących słońc — jak u kogoś, kto przynosi wieści o znaczącej wadze.

— Owocne wyjście — oznajmiła Xoxetka, krzyżując ramiona.

— Odnalezienie wcielenia Shinrina wydaje się czymś więcej niż tylko tym — ironizował Zephyr.

— Narwany marynarz ponoć usłyszał szepty delfina — podjęła od razu Nahuili.

— Nie wierzysz Dexowi?

— Nie. Ale też nie potrafię stwierdzić, że kłamie. Mimo własnych sposobów... — powiedziała enigmatycznie, marszcząc brwi, i dodała:

— Albo dobrze grał swoje reakcje i wiedział coś o artefakcie, albo naprawdę coś usłyszał. Po prostu zachowywał się zbyt teatralnie i nie mogłam go odczytać. A że chwilę wcześniej wpadł do sali wściekły... tym bardziej czuję w tym grę słabego aktora.

Zbliżała się do nich Isandra, na co Nahuili tylko szepnęła Zephyrowi:

— Współczuję ci, o Vocisceptorze. Poza walką o życie i misję musisz jeszcze walczyć o serca. Cieszę się, że nie posłuchałeś rady Neriego.

Zephyr poczuł, jak na jego policzkach pojawia się rumieniec wstydu. Przez moment zastanawiał się, czy jego były mentor naprawdę miał w zwyczaju dzielić się swoimi „świątynnymi planami” na cudze sercowe problemy z każdym, kto ich znał.

Gdy tylko Isandra pojawiła się przy nich, z ekscytacją rzekła:

— Zephyrze! Czy to był Leszy czy ten drzewiasty byt, o którym pisałeś w dzienniku? — spytała Isandra, starając się brzmieć rzeczowo.

— To drugie. Kaiboku. Rozumiem, że nie doszłaś do tego miejsca, w którym odkrywamy ten termin?

— Na razie wpis pięćdziesiąty ósmy — odparła, a na jej twarzy pojawił się lekki rumieniec. — Zdecydowałam, że przeczytam całość i...

Urwała, a jej wzrok uciekł gdzieś w bok. Nahuili, która to zauważyła, od razu przejęła rozmowę.

— Odnaleźli go w ruinach miasta. Zgodził się do nas dołączyć i zamieszkać na terenie pałacu.

— Niesamowite! — Isandra znów nabrała energii, gdy rozmowa wróciła do bezpiecznego tematu.

— Jeśli dobrze rozumiem, tylko Yorin potrafi się z nim porozumiewać? — dopytała Xoxetka.

— Zgadza się — przytaknął Zephyr. — Nie zna innej mowy niż te szelesty i gwizdy. Nie powtórzę jego imienia, dlatego pozwolił nazywać siebie Kriu.

— Najważniejsze, że komunikacja w ogóle jest możliwa — podsumowała Nahuili.

Po chwili Zephyr przeszedł na bardziej rzeczowy ton:

— Nahuili, widziałas gdzieś Severiana?

— Ostatnio nie. — Pokręciła głową. — Jeśli nie ma go tutaj, podejrzewam, że znajdziesz go poza Gyo.

— Skąd taki pomysł? — Zephyr uniósł brwi.

— Po ucieczce z Nikyo rozmawialiśmy nocą w pałacu. Powiedział, że choć rozumie pamięć swojego wilka, to wie, że to wciąż nie wszystko. — Zawahała się na chwilę. — Podejrzewam, że ćwiczysz poza źródłem, żeby nic mu nie zakłócało odbioru szeptów.

— Jemu jestem w stanie zaufać — westchnął Zephyr. — Jak wygląda progres innych z artefaktami? — zapytał, zmieniając ton rozmowy na czysto roboczy.

Isandra już otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz Nahuili zdążyła ją uprzedzić. Jej głos był chłodny, rzeczowy, niemal urzędowy:

— Nikt na razie nie zgłaszał nic niepokojącego. Z twoich bliskich Anari jest nieco zaniepokojona tym, że przy nowym natłoku obowiązków nie będzie mogła zajmować się dalej historią Meirin. Z Volkmarem rozmawiałam o Norihaku — tutaj nie widzę powodu do obaw. Do tego...

Zawiesiła głos, zerkając na Isandrę, która odezwała się szybciej, byle tylko uprzedzić Nahuili:

— Tak jak zalecałeś, nie próbowałam nic robić na własną rękę z muszlą. Nie dotykałam jej, ale... — Wzięła wdech. — Jej szepty są coraz silniejsze. Cały czas mnie zachęca. I co się zmieniło od pierwszego kontaktu, który wspólnie przeżyliśmy — teraz mówi do mnie w uamento.

— Jak to możliwe? — Zephyr zmarszczył brwi.

— Z tego, co opowiedziała mi niedawno Isandra — wtrąciła się Xoxetka, jakby czekała tylko na ten moment — mamy do czynienia z pamięcią należącą do *Yolatl*.

Słowo zapadło w ciszy. Oboje spojrzeli na nią z twarzami pełnymi niewiedzy — jakby nagle ktoś wspomniął imię dawno zapomnianego bóstwa z nieznanego im świata.

— Nie znam nazwy w waszym języku czy w mowie zai — kontynuowała Nahuili. — Niemniej opis działania tego bytu pokrywa się z posiadaną przeze mnie wiedzą: półprzezroczyste ciało przypominające ludzkie, muszle niemal wszyte we włosy i wielobarwne oczy, które sprawiają, że zatracasz się w ich blasku.

Zawiesiła głos, patrząc na Zephyra. Jej spojrzenie było zbyt długie, by można je uznać za przypadkowe. Pomięła temat pocałunku istoty, jakby to była kwestia czysto akademicka lub jak gdyby Isandra nie zdradziła jej tego szczegółu.

— Czuleś, Vocisceptorze, że coś zatracasz, gdy spojrzaleś w ten wzrok? — zapytała spokojnie.

— Tak... I do tej pory nie wiem, co to było. — Sam się zdziwił, jak szybko odpowiedział. Jej pytanie utwierdziło go w przekonaniu, że wie znacznie więcej, niż mówi.

Nahuili skinęła lekko głową.

— Jeśli Isandra nie ma nic przeciwko temu, chciałabym wam zaproponować wspólny seans pamięciowy nad jeziorem.

— Bardzo chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tej istocie! — odezwała się Isandra z entuzjazmem, który wybił Zephyra z równowagi. — Zephyrze, możesz do nas dołączyć?

Nie miał odwagi odmówić. *Może przy okazji uda nam się trafić na Dexiona wracającego z polowu.* Po tej myśli skinął głową na zgodę.

Isandra pobiegła po artefakt, a Nahuili, zostając z nim sam na sam, dodała cicho, najwyraźniej celowo nie chcąc o tym mówić przy Isandrze:

— Pocałunek, którym cię obdarzyła pamięć Yolatl, w dawnych czasach oznaczał symbol końca — wyjaśniła Nahuili. — Zakończenie żywota istoty, na której żerowała.

— Ta pamięć nie powinna mieć na mnie wpływu — odparł Zephyr. — Skoro Eidolon nie mógł skrzywdzić innych w moim wymiarze, to ta istota nie powinna w tym należącym do Isandry. Co najwyżej dotykał nas swoim ciałem lub esencją. Podobnie Płaczący, gdy —

— Yolatl jest czymś innym — przerwała mu. Jej ton spoważniał. — A przynajmniej tak podejrzewam. Nie wiem, czym dokładnie jest ten, którego zwiesz Eidolonem. Czymś, co kiedyś było człowiekiem, ale przestało nim być? W przypadku *cuayol* lub, jak wolą je tutaj nazywać, *kaiboku* — mówimy o materialnej istocie, która żyła lub wciąż żyje.

Spojrzała na taflę jeziora, gdzie słońca rozbiły się w tysiącach iskier.

— Niektórzy w mojej ojczyźnie nazywali *Yolalmeh* „syrenami przemijających wspomnień”. I choć zgadzam się z częścią o wspomnieniach, nigdy nie nazwałabym ich „syrenami”.

— Syreny naprawdę istnieją? — spytał Zephyr, bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania.

Nahuili uniosła na niego swoje czarne oczy.

— Nie. — Wypowiedziała to słowo z taką pewnością, że musiał uwierzyć. — A na pewno nie takie, w jakie lubicie wierzyć w Unaro: z płetwami i pięknymi ciałami, które uwodzą mężczyzn śpiewem. W naszych podaniach występowały stworzenia przypominające ryby lub morskie ssaki, z dłońmi zakończonymi pazurami. I nie śpiewały serenad — raczej recytowały klątwy.

Zephyr zamilkł. Patrzył na wodę, próbując pojąć, że pocałunek, który dostał, mógł w świecie rzeczywistym skończyć się fatalnie.

Isandra wróciła z muszlą w dłoni i ruszyli w stronę jeziora po specjalnie przygotowanych kładkach do prowizorycznego doku. Minęli go i przeszli dalej wzdłuż brzegu, szukając odpowiedniego miejsca, żeby przysiąść.

Tuż za dokiem dostrzegł powalone drzewo o grubym pniu, które utknęło częściowo w ziemi i tworzyło coś na kształt ławy. Korzenie wychodziły z gliniastego brzegu jak palce próbujące dosięgnąć wody. Wokół rosły dzikie lilie i paprocie — pozostałość dawnych ogrodów, które teraz kończyły się gładkim spadem do jeziora. Woda w tym miejscu była spokojna, lecz wystarczyło spojrzeć na omszałe kamienie, by dostrzec, gdzie brzeg mógł się kończyć.

Siedli, a Nahuili powiedziała wprost:

— Nigdy nie doświadczyłam wizji pamięci, dlatego muszę poprosić o kierunek, Vocisceptorze.

— Ja tylko przeczytałam w twoim dzienniku, że istota z artefaktu może wywołać wymiar, w którym wspomnienia ożywają — dodała Isandra, delikatnie obracając muszlę w dłoniach. — Ale jeśli dobrze rozumiem, ty i ja też jesteśmy w stanie wprowadzić innych do tych wymiarów?

— W praktyce można wprowadzić do nich każdego. Tak jak ty, Isandro, byłeś ze mną i z Larethe w wymiarze cienia na Rememoro. Pamiętasz, że nie chciałem tłumaczyć swoich decyzji i prosiłem, żebyś nie reagowała na to, co się działo?

Kobieta kiwnęła powoli głową, nie odrywając od niego wzroku.

— Eidolon, czyli cień lub zjawą, jak go zwykliśmy nazywać, nie widział cię w dniu katastrofy. Przywołał nas do tego wymiaru i nie był świadomy, że ma „nieproszonego gościa”. Wtedy tylko to podejrzewałem, a na Zaihon już potwierdziłem. Innymi słowy — pamięci istot w swoich wymiarach widzą tylko dwa rodzaje osób: te, które je słyszą oraz te, które same posiadają memorio. Jednak każdy może reagować inaczej na tak zintensyfikowaną formę pamięci świata.

— Czyli w kontakcie z Yolatl musimy być czujni, bo może nas wszystkich zauważyć? — dopytała Xoxetka.

— Zgadza się.

Chwilę milczeli, patrząc, jak światło odbija się w muszli.

— Kolejna sprawa — podjął Zephyr. — Jestem niemal pewien, że nic nam nie grozi, jeśli chodzi o zdrowie czy życie. Jednak... ten

byt. Nahuili, wspomniałaś, że mogłem coś zatracić, gdy spojrzałem w oczy tej istoty. Faktycznie poczułem jakąś stratę. Co to było?

— Wspomnienia — odparła Nahuili, patrząc przed siebie. — Takie, których nie jesteś świadomy, dopóki ich nie wywołasz samoczynnie... albo pod impulsem.

— *Teoria pamięci* Maroša Prowsta albo *De Retencio Mundi* Edmara Huseliona — wyszeptała do siebie Isandra. Zephyr wychwytał to natychmiast i nie był zaskoczony, że знаła Prowsta. Drugi autor był mu jednak obcy. Na jej palcu powoli zakręcił się kosmyk włosów — gest, który zdradzał napięcie i jej wewnętrzną analizę bardziej niż słowa.

— Yolalmeh żyły w morskich toniach — kontynuowała Nahuili. — Nie były istotami fizycznymi, poza jednym elementem: muszlami, które wrastały im we włosy lub sierść. — Spojrzała znacząco na dłoń Isandry trzymającą artefakt. — Mogły za to przybrać dowolną formę materialnej istoty. Wszystko zależało od tego, czym się żywiły — i co najbardziej lubiły w tym, co konsumowały.

Zawiesiła głos, a szum jeziora zagłuszył jego końcówkę.

— W przypadku tej muszli — dodała cicho — jest to najwyraźniej interpretacja kobiecego ideału piękna.

Isandra i Zephyr milczeli, choć pytania cisnęły się na usta. Ona pierwsza przełamała barierę milczenia i spytała:

— Skoro miały wchłaniać wspomnienia, czy oznacza to, że polowały na ofiary w wodzie i odzierały je z pamięci?

— Tylko te, które i tak miały umrzeć — odparła spokojnie Nahuili. — Tonące, konające... albo proszące, by zapomnieć. Ci ostatni często tracili więcej niż chcieli oddać.

— Gdy na ciebie czekaliśmy, Isandro, Nahuili wspomniała, że Yolatl bywa nazywana „syreną przemijających wspomnień”. Czy to znaczy, że nie żywi się każdym wspomnieniem, tylko wybranymi? Ja nic nie zapomniałem po tym kontakcie — podbił wążek Zephyr.

— Podobno — zaczęła Xoxetka. — Ponoć, gdy istota rozumna umiera, mówi się, że całe życie przelatuje jej przed oczami. Nie ważne, czy to śmierć naturalna, czy nagła. Yolalmeh nie karmiły się tymi obrazami. Sięgały tam, gdzie pamięć już się rwie.

Jej głos stał się niższy, bardziej skupiony.

— Wyciągały wszystko, co mogły. Gdy miały dostęp do potężnych wspomnień, pochłaniały te, które i tak zanikają w normalnych warunkach. Od najdrobniejszych: co jedliśmy, co powiedzieliśmy komuś po drodze, po wspomnienia, które nigdy nie wracają przed śmiercią, a są równie ważne. Pierwsze zauroczenia, drobne sukcesy, twarze dalszej rodziny. Oczywiście mogły też pochłaniać wskazane przez ofiarę wspomnienia, stąd moje wcześniejsze słowa o tych, którzy proszą, by zapomnieć.

Wzięła oddech i dokończyła:

— Najprościej mówiąc, Yolalmeh żywiły się przemijającymi wspomnieniami, które je tworzą i uczą. Tym, co w nas powoli obumiera, by zrobić miejsce dla nowego. Dla nich to forma uczty.

— Jak można sklasyfikować istotę, która nie ma materialnej formy? — zapytała nagle Isandra.

Odpowiedziała jej cisza. Najwyraźniej żadne z nich nigdy nie natrafiło na nic podobnego. Kiedy nie doczekała się reakcji, powtórzyła z ekscytacją:

— To jak? Zaczynamy? Zephyr, co mam zrobić?

— Zanim rozpoczniemy — zwrócił się najpierw do Xoxetki — musisz wiedzieć, że każdy wymiar ma własną fizykę i ciężar. Yołatl woli głębinę, więc będziesz miała wrażenie, że jesteś pod wodą. Ubrania i włosy będą falować, ale możesz normalnie oddychać. — Uśmiechnął się krzywo. — Nas to za pierwszym razem mocno przestraszyło.

Nahuili kiwnęła głową ze zrozumieniem, a on zwrócił się do Isandry:

— Trzymaj muszlę tak jak teraz. Przymknijmy oczy.

Tak też uczynili.

— Teraz skup się na artefakcie — mówił cicho Zephyr. — Spróbuj swoją świadomością dotknąć pamięci ukrytej w przedmiocie —

Zawiesił głos. Powietrze natychmiast zgęstniało.

Zdania nie dokończył. Silne vibracje uderzyły w jego zmysły. Ubrania stały się cięższe, a włosy delikatnie uniosły się w górę. Otworzył oczy jako pierwszy — znowu byli pod wodą.

Tym razem jednak efekt był inny niż w pomieszczeniu. Otwarta przestrzeń wyglądała jak zatopione miasto, pogrążone w ciemności, której nie dało się przeniknąć wzrokiem. Tylko z góry, niczym przez szklaną taflę, sączył się wąski snop księżycowego światła. Oświeślał ich jak na dnie niewidzialnego basenu.

Xoxetka, mimo ostrzeżenia Zephyra, instynktownie i gwałtownie próbowała nabrać powietrza. Isandra natomiast patrzyła w górę, a w jej brązowych oczach odbijało się światło jak na powierzchni wody — fascynacja mieszała się z niedowierzaniem.

— Obszar jest znacznie większy niż ostatnio — szepnął Zephyr.
— Wtedy zaskoczyła nas, wpływając przez okno komnaty, a teraz
—

Urwał. Z ciemności przed nimi coś się zbliżało. Lśniło delikatnie i poruszało się falistym, znajomym rytmem, jakby przesuwano się nie po dnie, lecz w samej materii wody.

— Isandro — odezwał się szybko. — W tym świecie powinnaś mieć wpływ na jego strukturę. Nie wiem, jaki dokładnie, ale spróbuj to poczuć. W wymiarze cienia mogę sterować materią, tworzyć kształty z samej substancji wizji. Znajdź tutaj podobną esencję.

Nahuili wpatrywała się w Yolatl z rosnącą fascynacją — na początku z oddaniem, lecz z czasem z zatraceniem w spojrzeniu istoty, która z każdą chwilą zbliżała się do nich.

Istota nagle odbiła w jej stronę, najpewniej wyczuwając słabość i niewypowiedziane pragnienie. Isandra, nie mogąc w wodnej toni kręcić nerwowo swoim kosmykiem, pocierała dłonie, jakby szukała sposobu, by uchwycić coś, co nie miało kształtu.

Zephyr patrzył to na nią, to na istotę. Gdy ta zbliżyła się niebezpiecznie blisko, ich spojrzenia się spotkały. Znów poczuł to samo uczucie utraty — jak wtedy, przy pierwszym spotkaniu.

Wodny byt zawahał się. Przed sobą miał dwa „posiłki”, ale po chwili znowu wybrał Zephryra. Jej oczy, mieniające się bursztynem, czerwienią i pomarańczem, przeszywały go, aż nagle między nimi wyrosła przezroczysta ściana, ledwo widoczna, gdyby nie ruch wody.

Zephyr nadal widział Yolatl, lecz nie czuł już tej dziwnej siły. Z zewnętrznej strony ich wodnej kopuły rozległ się nienaturalny

krzyk, jak dźwięk kruszonego kryształu. Istota zasłoniła swoje oczy dłonią — gest bez celu, skoro jej ciało było półprzezroczyste — i powoli zaczęła się oddalać, odwracając do nich plecami. Machnięcia błoniastych stóp pozostawiały w toni fosforyzujące smugi.

— Nic wam nie jest? — zapytała zmachana Isandra.

Nahuili wciąż patrzyła na Yolatl i tylko skinęła głową na potwierdzenie.

— Już nie — odparł Zephyr. — Choć znów widziałem jej oczy. Co się właściwie stało?

— *Sekrigardo* — powiedziała z satysfakcją Isandra.

Zephyr spojrzał na nią z niedowierzaniem, że wymyśliła taką kontre.

— Czym jest to całe *sekrigardo*? — spytała Nahuili, wychylając się, by dotknąć tafli i sprawdzić, czy istota zareaguje.

— Potocznie można by to nazwać „zwierciadłem przezrocznym” — wyjaśniła Isandra z triumfalnym uśmiechem. — My widzimy ją, a ona — tylko swoje odbicie. Dlatego wygląda teraz na taką zawstydzoną.

— Genialne — wyszeptał Zephyr, pełen uznania.

Trójka obserwowała Yolatl, nadal nie wierząc w to, co się stało, i w to, jak Isandra zwalczyła największe zagrożenie płynące ze strony jej oczu.

Patrząc na półprzezroczysty byt, zastanawiali się, co począć dalej.

WIĘCEJ O ZERYTHAR

Pamięć tego świata nie kończy się na ostatniej stronie. Zerythar trwa dalej.



zerythar.world

Mapy, glosariusz, materiały o świecie.

© 2026 Wydawnictwo Memoro

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i za pomocą jakichkolwiek środków bez pisemnej zgody autora.

Proces twórczy obejmował wykorzystanie narzędzi wspomagających, w tym oprogramowania opartego na sztucznej inteligencji, m.in. do organizacji materiału, redakcji technicznej oraz tłumaczenia nazw na obce języki. Całość utworu, koncept, świat, fabuła i wnioski pozostają dziełem autora.